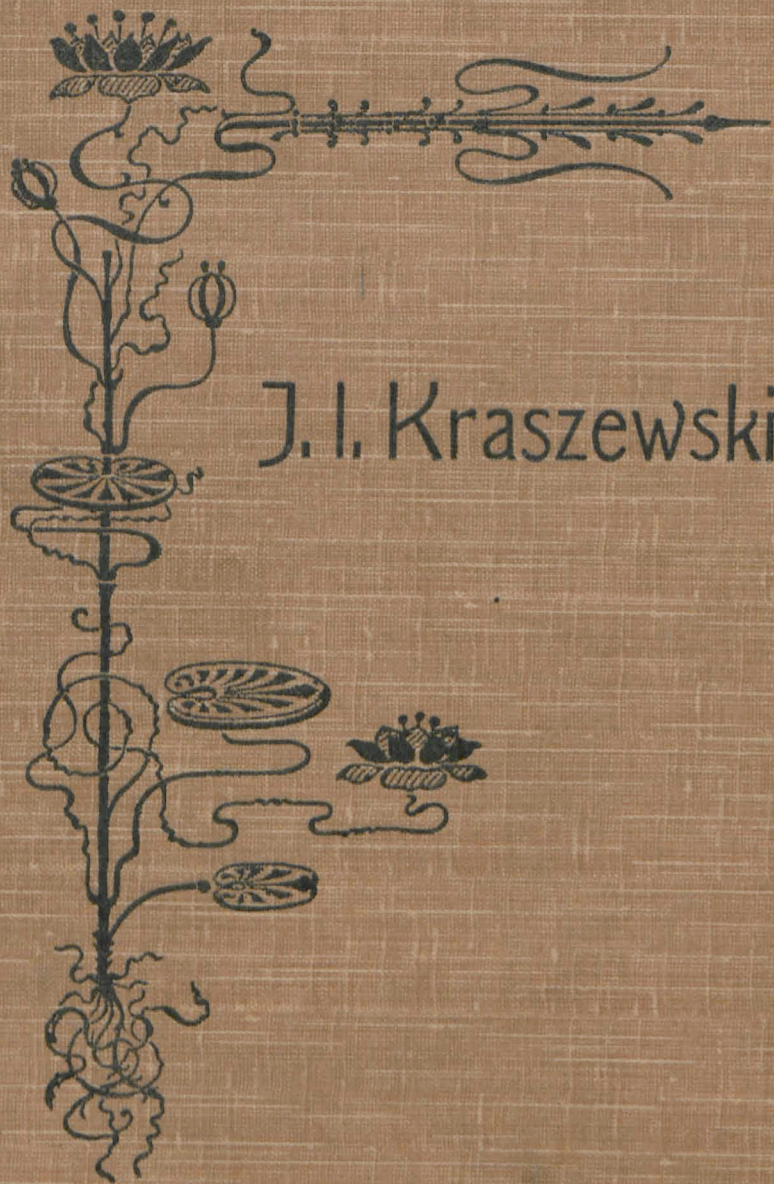




J. I. Kraszewski

POGROBEK

POGROBEK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z czasów Przemysławowskich

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO

TOM II

Kraszewski

WARSZAWA

Nakładem i drukiem M. Arcta

1901

Дозволено Цензурою.
Варшава, 31 Июля 1900 года.



Mu/M 283

I.

Zarębów i Nałęczów ród już naówczas po całej Polsce był rozsiadły. Dosyć ich znajdowało się na dworach śląskich, w Poznaniu, Krakowie, na Mazowszu, ale daleko więcej obojga tego zawołania ziemian po dworach swoich i gródkach siedziało.

Dziś, gdy człowiek każdy co najrychlej stara się być niezależnym i starczyć sam sobie, bo bezpieczeństwo od napaści dają mu prawa; — nie mamy już pojęcia, czem w tamtych wiekach był ród, rodzina, zawołanie jedno, znamię i krwi związek.

Zwali się ludzie imionami tylko, przydomkami, jakie im dawano, nazwy od wsi brali, na których siedzieli, dla rozróżnienia, ale związek krwi łączył najdalszych członków jednego plemienia w wielką całość, stanowiącą niby obóz obronny.

Widzieliśmy tak Odrowążów i Jaksów, wojnę z sobą wiodących, a co krok na kartach kronik spotykamy zawołania ziemian, gromadami służące książętom, albo przeciwko nim występujące.

Często możny ród mając przeciwko sobie, książę we własnym domu spokoju nie miał.

Ziemianie, liczebnie silni a majątni, ciągnęli za sobą spowinowacone rody i grozili panującym.

Z najdalszych krańców ziem różnych na dane hasło odzywali się swoi. Trzymano się za

ręce w złym i dobrym losie, pilnowano wzajem, posiłkowano, nie dano sponiewierać się ni upaść. Za jednego pokrzywdzonego mścili się wszyscy.

Książę Przemysław rozumiał to dobrze, iż Zarębę obraziwszy, cały jego ród i współplemienników przeciw sobie zburzy, do których przybierały Nałęcz, od nich silniejsi jeszcze, a liczniej rozrodzeni.

Michno Zaręba rodzinę mógł znaleźć w pobliżu o mil parę na drodze do Sremu, lecz u niej łatwo go było poszlakować i doścignąć.

Puścili się więc oba z Nałęczem, większe pomijając gościniec, lasami, z początku niedobrze wiedząc, gdzie ich oczy niosły.

Szło o to, aby się co rychlej oddalić od Poznania. Oba baczni wielce, lękając się pogoni, nasłuchiwali dobrze, a gdy w lesie tentent koni posłyszeli, przypadli cichaczem w gęstwinie, dając się czeladzi zamkowej wyprzedzić, co się im łatwo udało.

Nałęcz miał w okolicy Gniezna stryja starego, na wsi osiadłego, do którego czasem dojeżdżali dla łowów i spoczynku. Zwano go Włodkiem, a że nigdy w radzie książęcej zasiadał, Comesem go czczono.

Człowiek był dawniej krewki do zbytku, broił dużo, szalał długo, nawrócony teraz, życiem niezmiernie surowem starał się okupić dawne życie swoje. Schronić się doń zdawało bezpiecznem, gdyż tam mało kto kiedy zaglądał. Domu reguła ostra była, i dwaj młodzi niechętnieby się poddali jej na czas dłuższy—lecz na krótko i ten przytułek był pożądany.

W Nałęczynie bez mała klasztor Włodek założył.

Stary Comes, chociaż żonaty z dziewczcą znakomitego rodu i ojciec dwóch synów, po zgonie żony, a i za jej życia pono, swawolnie sobie poczynił, tak że pobocznego potomstwa kilkanaście-

ro się znalazło. Wszystko to teraz z nim pod jednym dachem mieszkało i za niego pokutę musiało odprawiać.

Wyprosił był sobie Włodek ofiarą dla kościoła księdza Niemca zakonu św. Franciszka, który u niego kapelanem był i rygor mu tu klasztorny wprowadził.

O. Franc, którego tu poufale Ojczulem zwano, obchodził się z Włodkiem i jego rodziną bardzo surowo. On tu był teraz panem.

Po krótkiej z Zarębą naradzie Pawłek Nałęcz pociągnął go z sobą do stryja, chociaż długo tu przebywać nie myśleli. Zaręba gorączkowy i niecierpliwy zabierał się zaraz wszystek ród objeżdżać i przeciw księciu Przemysławowi go zbroid, opierając się na którym z książąt śląskich.

Nie wiedział Michna spełna co począć, lecz poprzysiągł, że na księciu pomścić się musi.

Nałęcz, umiarkowańszy i chłodniejszy, powstrzymał go i starał się uspokajać, co niewiele pomagało.

— Ani dziś, ani jutro może nie dokażę tego, co chcę—zawołał Zaręba—lecz póki żyw, nie daruję mu za księżnę i za siebie!

Zjechali z drogi ku Nałęczynowi, do którego Pawłek prowadził. Potrzeba było nocować w lesie, a choć jesień była późna, i chłód dojmujący, ognia nawet naniecić nie śmieli, aby ten ich nie zdradził.

Odzieży ciepłej nie mając, otulili się jak mogli, a nim konie u cudzego stoga popaśli, kilka godzin przesiedzieli, drzemiąc w myślach zatopieni.

Nade dniem puścili się w dalszą drogę, i przemykając się bezdrożami, dojechali do Nałęczyna.

Dwór starego pokutnika leżał, jak na wysepce, pomiędzy jeziorkami dwoma, które umyślnie przekopami połączono. Broniło go to od napści i odgradzało od świata.

Włodek zerwał z nim był wszelkie prawie stosunki, duszą swą grzeszną zajmując się jedynie.

Zdała ponad obszernie rozstawionemi domostwy i drzewami, teraz z liści opadłemi, widać było drewnianą, sterczącą w górę, wieżyczkę kościółka z krzyżem sporym, drewnianym także, wedle obyczaju zakonu św. Franciszka.

Przejechawszy długą hać rozgrzęzłą, którą zaniedbano poprawiać i woda ją w miejscach wielu poprzerywała, przebywszy kilka mostów lichych i podziurawionych—stanęli u wrót, w które dobrze bić musieli, nim Nałęcz się odzwierne-go dowołał.

Temu oznajmił się jako bratanek pana, domagając z towarzyszem gościny. Stróż poszedł do pana, ale ten na modlitwie był, której mu przerywać nie śmiano. Musieli więc czekać długo.

Wpuszczono potem samego Pawłka, kazawszy Zarębę z końmi zostać za wroty.

Wszedłszy w podwórcę, znalazł się Nałęcz naprzeciw męża ogromnego wzrostu, u wrót już stojącego, który na sobie miał suknię barwy siemieżnej, sznurem prostym podpasaną. Tem się tylko ona od mniszej różniła, że kaptura nie miała.

Był to Włodek, bosy, w trepkach, z rękami obnażonemi, tak że widocznem było, iż gźła nie nosił, a twarda odzież za włosienicę mu służyła. Twarz mimo postów i umartwień miał krągłą, pełną i zdrową, a brwi, jak dwie wiechy pół siwe.

Zdała postrzegł Pawłek parami idących kilka dziewcząt różnego wzrostu, także w sukniach burych, a za niemi w pewnej odległości tak samo odzianych chłopców dorosłych i małych, za którymi szedł Ojczulo w kapturze na głowie, z ki-jem w rękę... człek wychudły, silny jednak i obli-cza surowego.

Chłopcy z księdzem szli ku jednemu budynkowi na prawo, a dziewczęta ze starą niewiastą, chustą ciemną osłoniętą i przygarbioną, zwracały się na lewo.

Włodek na zbliżającego się bratanka patrzył z uwagą i zdawał się go poznawać. Pawłek pośpieszył rękę jego ucałować.

— Bóg z tobą! z czem ty do mnie?—nie odstępując ode drzwi, które sobą zasłaniał, rzekł stary.

— Stryju miły!—odparł Nałęcz, który natu-ry był powolnej i do każdego zastosować się umiał—stało się, o czemby długo bajać przyszło: a no, ja i Zaręba, pobratym mój, potrzebujemy schronienia, bośmy przez księcia ściżani.

Włodek się strasznie żachnął.

— Pogańskie syny! bezbożniki! cóżeście to zrobili? — zakrzyczał.

— Nie karygodnego. Zaręba się ważył księciu na oczy wyrzucać życie jego nierządne a poniewieranie żony. Rozgniewał się Przemko, trzeba było z życiem uchodzić.

Włodek głową począł kręcić.

— Kłamiesz! — rzekł.

— Prawdę powiedział, jak mi Bóg miły!

— A u mnie, myślicie, dla dwu łotrów z rozpustnego dworu schronienie?—zawołał Włodek.—Ja dla was życia nie zmienię, a wy tu nie wytrwacie. Czy ty nie wiesz, jakie u mnie życie?

— Wiemy, że u was klasztor — rzekł Nałęcz — ale i po klasztorach przyjmują ludzi do izb gościnnych.

— Klasztoru u mnie niema — przerwał stary — ale chrześcijańskie życie jest! takie, jakie wszędzie powinno być: modlitwa, od której nikomu się nie dam uwolnić, post, karność. Co mnie tu po takich dwu trutniach, nawykłych do dworskiej rozpusty? Co wy tu robić będziecie?

— Odpocznijmy dzień jaki...

Włodek mrucał.

— Nie odpędzę was od wrót—rzekł—ale pamiętajcie: u mnie jedno prawo dla wszystkich. Kto tu wszedł, musi ze mną Boga chwalić... na wszelki sposób.

— Toć i my nie poganie!

— A, poganie! poganie! tak, jakem ja był, dopókim nie przejrzał! — odezwał się stary. — Cielsko u was Bogiem, brzuch ołtarzem, rozpusta nałogiem! Poganie jesteście... Byłem ja wam podobnym, za to teraz pokutuję...

— My też do pokuty czas mamy.

— Co ty wiesz!—ofuknął stary.— Odebrałeś od śmierci posła, kiedy masz zdechnąć? Zawsze czas kajać się.

Pawłek stał milczący, bo ze starym spierać się niedobrze było.

— No, wjedźcie, wjedźcie! — dodał gospodarz — ale ja was, owiec zarażonych, do mojej trzody nie puszcze. Jest u wrót domostwo puste, tam sobie mieszkajcie. A żebyście mi po dworze się nie włóczyli, młodzieży mi nie bałamucili! Na chleb wspólny do dworu możecie przyjść, zobaczymy, jak się sprawać będziecie... albo jedzcie osobno... My tu waszej społeczności nie żądni!

Nałęcz chciał coś odpowiedzieć, stary mu usta zamknął.

— U mnie posłuszeństwo pierwsze prawu—dodał.— Chcecie przytułku, nagnijcie karku.

Pawłek się skłonił, Włodek krzyknął poza się do dworu:

— Zadra! sam tu!

Zjawił się stary człek, także buro i ubogo odziany, w czapeczce na łysej głowie, z oczyma przymrużonemi.

— Masz oto gości dwu — rzekł Włodek do niego — gospoda dla nich podle wrót, a konie do szopy... Siana posłać, strawa ta, co dla wszyst-

kich... Tacy ludzie, jak i my: muszą co i my pożywać i być radzi.

Wtem z różańcem w ręku nadciągnął Ojczulo, który się zdala przybyszom przypatrywał.

Pawłek, widząc, kto był, skłonił mu się pokornie.

— A w rękę duchownego nie możesz pocałować? — krzyknął Włodek.

Trzeba było pójść do ręki, którą mnich go pobłogosławił.

W twarzy ascety widać było pokój z apatyą graniczący, dobroć chłodną... W ciągu powitania szeptał modlitwę i różaniec z dużych paciery złożony w chudych, czarnych rękach przesuwiał.

Włodek z wielkiem poszanowaniem opowiadał mu o przybyłym, co mnich przyjął obojętnie. Gdy Pawłek ze starym rozmawiał, Zadra wpuścił już Zarebę z końmi do środka.

Michno, z konia zsiadłszy, którego chłopak przybył wziąć do stajen, podstąpił do gospodarza domu.

Szedł ze swą zwykłą butą, teraz jeszcze gniewem urosła, która się nie miała czasu uspokoić, bez tej pokory i uniżoności, jakiej wymagał Włodek, trochę dla siebie, a więcej dla Ojczula.

— Druh mój i pobratym — odezwał się — już powiedzieć musiał, co nas tu za bieda zagnała. Miłościwy panie, daj nam do czasu schronienie! Zwadziłem się z panem moim, ale sromać się nie mam czego. Bezlitośny jest, a żyje w jawnym grzechu. Nie napominają go inni, że żonę nieszczęśliwą daje na łup nierządnic; serce mi się ścisnęło widokiem cnotliwej pani, rzekłem mu prawdę w oczy i przed gniewem uchodzić muszę.

Włodek i Ojczulo, który choć niemiec, mowę polską rozumiał, słuchali pilnie.

— Pięknie mówicie, ho! ho!—odparł stary—ale mi się to coś dziwnem zda, żeście tak księżnę enotliwą umiłowali, a panu się stawili jeżem! Są tam duchowni ojcowie przecie...

— Duchowni są, a milczą—zawołał Zaręba—więc gdy ludzie nie mówią, kamienie krzyczęć muszą. Com uczynił, nie żałuję tego, ani się wstydam. Pan jest bez serca, okrutny, a księżna już zamęczona przez niepoczciwych...

Ojczulo przysłuchiwał się, modląc pocichu.

Włodek na dwór u wrót wskazał i rzekł krótko:

— Idźcież spocząć!

Z tą sprawą dumny Zaręba, nie czekając dłużej, zawrócił się nasepiony, skinąwszy na towarzysza, i poszedł, kędy mu wskazano.

— He? — odezwał się, idąc do Pawłka — my tu pono długo nie będziemy popasali; wytrwać będzie trudno. Z biedy i pod suche drzewo człowiek się chowa.

We dworku pod wrotami zimno było, pusto, niegościnnie... Służba chodziła milcząca i jak wystraszona.

Ledwie legli spoczywać, gdy dzwonek się dał słyszeć do obiadu.

Rzędami znowu szły dziewczęta i chłopcy, którym zdala goście się przypatrywali; dziewczęta z głowami pospuszczanymi, ręce na piersiach poskładane, chłopcy podobnie.

Wszystko to we drzwiach dworu znikło.

Nie wiedzieli jeszcze, czy i oni dzwonekowi posłuszni być mieli, gdy ich do stołu wspólnego zawołano.

W ogromnej izbie, której całą ścianę wielki krzyż czarny zajmował, opodał od siebie ubogo nakryte stoły czekały na biesiadników. Około drzwi z jednej strony dziewczęta już stały różnego wzrostu, ale w jednej odzieży, z włosami krótko poostrzyganymi, z drugiej chłopcy bosi

i w trepkach. Z boku podwyższony pulpit czekał na lektora.

Na stołach już stały misy i mało co kubków drewnianych, a że dzień postny był, zdala zachodziła woń mąki i oleju.

W głębi Ojczulo i Włodek czekali na gości, aby się siaść. Tymczasem wyrostek z bystreimi oczyma, z głową już wygoloną, jak u mnicha, zabierał się do czytania, a raczej do opowiadania językiem łamanym i mało zrozumiałym, co przed sobą miał po łacinie.

Zaręba i Nałęcz, patrząc na ten osobliwy klasztor, weszli i na wskazanych przy gospodarzu miejscach stanęli. Ojczulo mruczał już *Benedicite* i żegnał stoły. Milczenie panowało w jadalni; gdy dokończył, usiedli wszyscy.

Zaręba spojrział, co na misach stało, bo byli głodni. Post był: kasza z olejem, polewka owsiana z kluskami i małe płotki, przyskwawzone w oleju a mocno cuchnące, składały całą zastawę; w dzbankach woda stała i piwo cienkie.

Zaczęto pożywać, a Zaręba do chleba się zabrał, choć czarny był, bo mu się najpożywniejszym wydał.

— Nie zasmakuje wam jadło moje! — rzekł, uśmiechając się, Włodek. — U nas post, grzechu pod moim dachem nie ścierpię; jedzcie, co Bóg dał.

W milczeniu dziewczęta z jednej, chłopcy z drugiej strony chwyтали z mis, co mogli, kromkami chleba pomagając sobie zamiast łyżek, chlepiąc i chrupiąc.

Wyrostek przy pulpicie plótł, jakając się, czego pewnie sam nie rozumiał; słuchali go wszyscy.

Jedzenie nie trwało długo, bo z mis znikło wszystko, co na nich stało, a nowych nie przyniesiono. Ojczulo powstał, dziękczynną odmawiając modlitwę. Dziewczęta ustawiły się w rząd

i pociągnęły pierwsze, chłopcy w pewnem oddaleniu za niemi.

Zostali tylko Ojczulo, gospodarz i goście.

— My wkrótce do kaplicy na modlitwę idziemy — rzekł Włodek — kto chce, może z nami, nikogo nie zmuszam. Zabawy u mnie innej niema.

To mówiąc, stary pocałował księdza w rękę. Zaręba się skłonił, skinął na Pawłka i wyszli.

— Ty, co lepiej pana stryja znasz — zapytał Michno w podwórzu — powiedz mi, chyba tu nie codzień takie gody, na jakieśmy dziś trafili?

— Owszem, porządek to powszedni, a czasem i gorzej bywa! — rozśmiał się Pawłek. — To tylko adwent, a w wielkim poście we dwoje ostrzejszy post, we dwójnasób dłuższa modlitwa, dzieńna i nocna.

— Wolalbym już naprawdę mnichem zostać! — rzekł Zaręba.

— Mnie się też zda, że stryj na tem skończy, iż dwa klasztory założy, córki w jednym, a synów w drugim zamykając — odezwał się Pawłek. — Dwaj prawi synowie, nie mogąc tu życia znieść, poszli na inne wioski i rycersko służą.

— Do tychby i nam potrzeba — zakończył Zaręba — bo rychło z głodu poumieramy.

Wrócili do dworku, gdy już dzwoniciono na modlitwę i parami znowu ciągnęły dzieci do kaplicy. Dwaj pobratymy podzielili się i Zaręba spoczywać, a Pawłek poszedł się modlić.

Kapliczka była nie wytworna, ale schludna. U wielkiego ołtarza stał sam Ojczulo, a Włodek w komży mu posługiwał.

Śpiewano pieśni, odmawiano modlitwy, padano na twarz i nabożeństwo niemal do nocy się przeciągnęło.

Wieczorne jadło przysłano gościom do dworku, a było tak chude i biedne, jak ranne, tylko mniej niż pierwszym razem.

Zaręba, do innego stołu nawykły, bo jadał i pił dużo — posmutniał.

— Jeśli ci tu życie smakuje — odezwał się, ocierając usta — siedź sobie, a ja jutro w świat, nie wytrwam.

— Przecie wiesz, że razem być musimy — rzekł Nałęcz. — Jutro pójdziemy innego kąta szukać, a pogoń nas może minie.

Pokładli się spać głodni.

Pawłek, który był wyszedł pode dwór raz jeszcze, aby się z Włodkiem rozmówić, dowiedział się od czeladzi, że to była godzina biczowania. Chłostę zdala nawet posłyszawszy, przędko do dworku powrócił.

Rano trąbka, nader wesoło grająca u wrót, zbudziła ich obu.

Porwali się na nogi prawie przestraszeni, nie mogąc zrozumieć, kto w tym smutnym dworze tak się śmiał odzywać wesoło.

We wrotach stał konny ze psy i kilku ludźmi, śmiało, jak do domu wtargnąwszy. Młody był, przystojny mężczyzna. Ten na mnicha wcale nie wyglądał i twarz miał wesołą, a na tutejsze prawo domowe mało baczyć się zdawał.

Domyślili się łatwo, że musiał to być starszy syn gospodarza, o którym wiedzieli, że w bliskości na wsi mieszkał. Tomko mu było na imię. Znał go Pawłek dawniej i zarzuciwszy na się kożuch, wybiegł przeciw niemu.

Myśliwiec nierychło go sobie przypomniał i poznał, ale gdy przemówił, zsiadł zaraz do niego, aby uściskać. Stary Włodek, który już był na modlitwie, nie wychodził do syna.

— Ty tu? — zawołał młody — a skądżeś się wziął? co cię tu przyniosło?... Wpadłeś, biedaku, na post i umartwienie, na pokutę do ojca mego?

Nałęcz przędko spowiadać mu się począł ze wszystkiego i zaprowadził go do izby, w której Zaręba odziewał się dopiero. Powitali się.

Tomko, który na dworze ksiązęcym próbował żyć, a nie powiodło mu się, Przemysława niebardzo lubił. Słuchał więc powieści, gorąco potakując i biorąc ją do serca.

— Wy tu nie macie co robić — rzekł — jedźcie ze mną. Ja, choć ojca kocham i szanuję, z nim bym pono nie wyżył. On teraz tak się do nieba dobija, jak dawniej żywot pełnemi spijał... Wola jego! Wszystkim jednak tak żyć trudno. Z tej dziatwy, którą w mnisze habity pozaszywał, zawczasu już mu dwoje starszych dziewcząt i ze trzech chłopców przez tyny puciekało.

Tomko śmiał się, ale u drzwi posłyszawszy kroki, zamilkł.

Stary Włodek z rękami rozpostartymi wchodził witać syna. Był to jego najmilszy, którego on tak kochał, że mu nawet jego światowe usposobienie przebaczał, mówiąc, że mu nawrócenie wymodli.

Ścisnął go za kolana Tomko, a ten, drżąc, głowę mu ujął i całował.

— Cóż? już na łowy, od rana?... a mszy słuchałeś?

— Nie zdążyłem na nią — rzekł Tomko.

Włodek milcząc na gości ukazał, jakby chciał powiedzieć: Uwolnijże ty mnie od nich!

— Ja Pawlka i Zarebę do siebie namawiam — zawołał, domyśliwszy się, Tomko. — Oni tu u was umrą z głodu i tęsknicy.

Stary poruszył ramionami.

— Poganieście wy wszyscy, poganie! — rzekł. — Gdybyśmy się za was nie modlili, Pan Bóg by tę ziemię karał srożej jeszcze.

Westchnął; ale spojrzawszy na syna, wnet poweselał. Ścisnął go, przyglądał mu się z widoczną pociechą. Piękny był, życia pełen. Myśl pobożnego ojca mimowoli tą bujną młodością się radowała.

— Do stołu ja ciebie i tych gości dziś nie

wzywam — mruknął po namyśle. — My dziś z suchotami, a ty, poganinie, z ojca i z postu i z nas gotówes sobie drwiny stroić. Przyślę wam tu co przekąsić; gubcie dusze, ale niech ja na to nie patrzę. U nas dziś suchoty.

— Dobrze, ojcze kochany — odparł Tomko — a ja za pozwoleniem twem sam pójde do piwnicy i na kuchnię gospodarować.

— Idź, ale bez pozwolenia — rzekł Włodek.

Dano do dworku dnia tego obficie jadła i lepszego — co Tomkowi zawdzięczali. Po obiedzie rannym pożegnali gospodarza i wyruszyli z Nałęczyna.

Młody zawiózł ich do swojego dworu. Nowy on był na wydartych świeżo trzebieżach w puszczy, nie obronny, bo las dokoła go osłaniał. Mało się tu najazdu obawiano. Dostatnio było na nowosiedlinach, wesoło i ochoczo.

Wyszła przeciw przybywającemu młoda żona Sulisława, nie wiedząc, że gości z sobą prowadził. Zobaczywszy ich, skryła się zaraz, bo po domowemu odziana była, a do obcych musiała wystąpić inaczej... I przyjęcie ich też dostatniejsze nakazać trzeba było, niż chleb powszedni.

Zareba tu odżył i poweselał dopiero, gdy siedli za stół dobrze zastawny, do którego wyszła piękna i strojna gospodyni, którą małżonek tak miłował, że jej to i przy obcych okazywał.

Zaczęła się rozmowa o dworze, o Lukierdzie, o życiu Przemysława.

Zareba z serca mówił i gorąco, a młoda pani płakała rzewnymi łzami nad losem księżnej. Tomko się oburzał.

— Twoja sprawa — rzekł w końcu — nasza sprawa. Nałęcz i Zarebowie razem pójda mścić się za krzywdę pani i za waszą. O pomstę do Boga woła takie okrucieństwo.

— Tyranem jest dla żony i tyranem dla

wszystkich — zawołał Zareba. — Dalej ziemianie u niego nie znaczyć nie będą i pójdą w niewolę. Pamiętajmy, że nasi ojcowie ich wybierali i podnosili na księstwa, a zrzucali, gdy chcieli. Dziś my co? sługi tylko, którym co każą, to robić muszą. Rodu tego Piastowego dosyć jest... mamy w kim wybierać... Czy to nowa rzecz będzie, gdy go wygnamy, a posadzimy innego?

— A nowy pan zawsze lepszy!... — dodał Tomko.

Pawlek obyczajem swym milczał.

Co dla Zareby dobrem było, to i on przyjmował chętnie. Umówiono się więc do Orlika Zareby, który w głębi Kaliskiego mieszkał, Nałęczów zwołać i Zarebów, aby się naradzić, jak przeciw księciu Przemysławowi postępować mieli i co czynić.

— Cicho tylko, a rozumnie! — zamruczał ostrożny Pawlek. — Gdy zawczasu wrzawy narobimy, połapią nas i pojną, a poćcinają bez sądu. Leszek za lada co ziemian na głowie, imieniu i czci karze. Cicho musimy iść, aby do swe go dojść.

Zasiedli więc u Tomka, skąd Zareba pokryjomu poczał na różne strony się wymykać, swoich i Nałęczów podburzając przeciw księciu.

II.

Kancelarz Wincenty, wyjechawszy z Poznania pociechu, tak że mało kto z bliższych wiedział o jego podróży, ściągnął pierwszego dnia na nocleg do wsi kościelnej, w której na probostwie chciał spocząć.

Zbliżając się do plebanii, dziwił się i zasmucił, widząc ją otoczoną mnogim ludem jeżdżym, który tylko co z koni zsiadł. Domyślał się,

że ktoś dostojny zawitać tu musiał, bo i ksiądz i klechy jego i co było czeladzi zwijało się około domku, jakby głowy potracili.

Orszak bardzo wspaniały z cudzoziemska się przedstawiał, pańsko, świetnie, a nie można było na pierwszy rzut oka rozpoznać, do kogo należał, świeckiego, czy duchownego pana, bo wśród niego zbroi i sutann po równi było. Noe się zbliżała, i ksiądz Wincenty namyślał się, co pocnie z sobą, bo tu dlań miejsca już nie było, a i dla samych przejezdnych skąpo być musiało, bo się do sąsiednich chat wprasali.

Staął więc z wozem swym i czeladzią, rozglądając się po wiosce, gdzieby i on mógł głowę przytulić.

Wtem wychodzący z plebanii dworzanie, księdza na dworze zobaczywszy z wozem, klaniać mu się poczęli, wymijając go, a jeden zapytał, skądby jechał. Więc też kanclerz zagadnął:

— A wy skąd?

— My, ojcze, z dalekiej bardzo strony, z długiej drogi — rzekł śmiejąc się dworzanin. — Wracamy z Rzymu...

— Jakto, z Rzymu? — zawołał ks. Wincenty, poruszony tem niemało — a z kimże to jedziecie? komu towarzyszycie?

Stojący przy wozie minę miał figlarną.

— Z kim? — odparł — a toć z przyszyłym, przez Ojca Świętego naznaczonym na Arcybiskupstwo Gnieźnieńskie nominatem..., bo Włościbora tam nie chcieli.

Ks. Wincenty aż się przeżegnał.

Podróż więc przez niego przedsięwzięta niepotrzebna już była. Z trwogą poczał pytać:

— Któż mianowany? Włoch czy Francuz?

Pewien bowiem był, iż obcy być musi, a gorzko mu się bardzo stało na duszy.

— Ani Włoch, ani Francuz, ani żaden obcy,

nasz własny rodzic... tylko, że jeszcze duchownych święceń nie ma: pan nasz, Jakób Świnka.

Oniemiał kanclerz z podziwu i ręce załamał.

— Jakże to może być! — zawołał.

— Dla czegożby być nie miało? — prawil gadatliwy dworzanin. — Wola Ojca Świętego wszystko może. Z naszym panem niegdy przyjaciółmi byli, towarzyszami. Ojciec Święty go uprosił, zaklął i nakłonił siłą prawie, aby suknię duchowną wdział i to dostojęństwo przyjął.

— Juści wy — przerwał kanclerz — nie żartowalibyście sobie ze mnie?

— Nie śmielibyśmy z osoby duchownej — rzekł dworzanin. — Bóg niech uchowa! Święta prawda jest, co mówię. Jedziemy wprost z listy rzymskimi, aby naszego pana wyświęcili biskupi.

Kanclerz znał niegdyś Świnke świeckim człowiekiem, więcej może przez drugich, niż przez się. Wiedział, że rozumny był, nauki miłujący, ale pamiętał go młodszym, rycerskiego usposobienia, do stanu duchownego wcale nie skłonny. Nie wiedział: smucić się, czy cieszyć. Razony był. Bądź co bądź, podróż, w którą się wybrał, była skończoną; pozostawało mu, albo do Poznania zawrócić, albo, wysiadłszy z wozu, iść na plebanie i pierwszemu nominata pozdrowić, a ujrzeć na oczy, co się w nim kościołowi obiecywało.

W niepewności tej stał jeszcze ks. Wincenty z wozem i ludźmi, gdy spojrzawszy na plebanie, poczuł jakby głos wewnętrzny, mówiący mu, iż tam był iść powinien.

— Niechże onego wybrańca Bożego pozdrowię pierwszy — rzekł w duchu — boć co się stało, odstać się już nie może. Rzym rzekł...

Zostawiwszy wóz swój i czeladź z klerykiem, który mu towarzyszył, ks. Wincenty zsiadł, ociągnął suknię i, przeżegnawszy się, do plebanii

zwolna podążył. Dworek był niewielki, ciasnota w nim, do środka dostać się niełatwo.

Obozem wówczas jeszcze niemal cała Polska stała i długo jeszcze potem. Wytwornych i obszernych budowli próżno w niej szukać było. Plebanie i dwory większej części ziemian rozszerzonemi tylko chatami zwać się mogły. Częste pożary, napady nieprzyjaciół, którzy niszczyli wszystko, nie dopuszczały na długie rachować lata, trwale i wygodnie się mieścić.

I ten też domek proboszczowski przy drewnianym, jak on, wiejskim kościółku, bardzo był szczupły i skromny. Składał się on z dużej sieni, z dwóch izb i komory po jednej stronie, po drugiej z izb dla klechów i gospodarskich; kilkunastu ludzi z czeladzią miejscową wypełniali już prawie wszystkie kąty. A gdy ks. Wincenty wszedł do sieni, w której dwór nominata przy ognisku się ogrzewał, ledwie się mógł przezeń przecisnąć.

Poziębli ludzie gwarzyli u komina wielkiego dosyć wesoło.

Z poza drzwi, do pierwszej izby wiodących, słyhać było głośnie rozmowę.

Kanclerz, choć niemałego znaczenia osoba duchowna, wyglądał dosyć skromnym i pokornym, nie bardzo więc nań zważano. Nieśmiały pomimo wieku, wahał się, czy ma bez oznajmienia wniknąć do środka, gdy młody wikaryusz mu się nastręczył, który biegł właśnie do klechów po coś wysłany.

Znał on księdza Wincentego z Poznania, wiedział, jakie stanowisko zajmował, i zdumiał się, zobaczywszy go tak pokornie stojącego w sieni.

Sądził zrazu, że należał do towarzystwa nominata. Chciał mu drzwi otwierać, gdy go ks. Wincenty zatrzymał.

— Ja wprost z Poznania jadę — rzekł. — Tylko

co przybywam i tylko co się dowiaduję o arcybiskupie; oznajmijcie mu o mnie.

Zaledwie wikaryusz spełnił to polecenie, gdy proboszcz już wyszedł naprzeciw niego, a u progu czekał nań Świnka.

Izba dosyć duża, w której proboszcz zwykł był przyjmować, tak była ubogą i ze wszelkich ozdób огоłoconą, jak na owe czasy przystało: stół i ławy, krzyż na ścianie, kropielnica u drzwi, nieopodal ode drzwi police, na których kilka kubków stało garncarską robotą.

Płomień ogniska rzucało blask na stojącego naprzeciw w sile wieku męskiego Jakóba Świnkę, na którym świeżo przywdziana suknia ciemna, krojem świeckiemu duchowieństwu właściwym, sprzeczała się niemal z rycerską postawą człowieka, co niedawno jeszcze chadzał we zbroi.

Szlachetne oblicze, czoło wyniosłe, spojrzenie śmiałe i jasne, usta uśmiechnięte łagodnie twarzy nadawały wyraz obudzający współczucie i poszanowanie.

Każdy, co go widział, czuł, że był mąż niepospolity, wybraniec, obdarzony rozumem i siłą woli, bez której sam rozum nie waży nic.

Coś jeszcze nieśmiałego było w nim, jakby ze swem nowem powołaniem nie obył się dosyć, a musiał na siebie pamiętać.

Ujrawszy kanclerza, Świnka obie ręce podniósł, uśmiechając się doń.

— Ojcie Wincenty—rzekł—oglądaj we mnie cud Boga Wszechmocnego, Szawła, któremu Pawłem zostać kazano, niegodne naczynie, którem czerpać chce Bóg i wylewać najdroższe dary swoje... *Non sum dignus!* wołałem z głębi duszy mej i wołam, alem uleść musiał woli Ojca Świętego. Cóż wy na to? co wy, starzy, zasłużeni, godniejsi nademnie—powiecie?

Prawym mężem był ks. Wincenty, a od wszel-

kiego pochlebstwa dalekim, spuścił głowę i rzekł zeicha:

— Co Bóg nam przez pomazańca swego uczynić raczył, dobrem być musi. Zatem wola Jego błogosławiona! Szczęśliwi jestem, że ja pierwszy witam przyszłego pasterza.

Chciał go w rękę ucałować, gdy Świnka uściśnął starego ze wzruszeniem.

— A! wierz mi, wierz, księże kanclerzu — rzekł — anim się dobijał, anim pragnął tego dostojęństwa. Jest ono brzemieniem wielkiem w tych ziemiach naszych, rozbitych i osłabłych niemocą długą. Jednocześnie ciągle, co się rozpryska, walczyć z samowolą możnych książątek, ukracać ich zachcianki, karać gwałty, ciągle prawo Boże przypominać tym, co i żadnego ludzkiego znać nie chcą... stać na najwyższej straży!... ciężka to sprawa i brzemień straszliwe!

Czuć było przejęcie wielkie i uniesienie w mowie nowego arcypasterza. Ks. Wincenty czytał w niem, jak głęboko był jeszcze poruszony nowem powołaniem swoim. Mówił żywo, a słowa płynęły mu z gorączkowym pośpiechem.

— Ojcie mój! — ciągnął dalej, wskazując siedzenie, a zapominając, co go tu sprowadziło. — Prawdziwy traf losu, niespodziewany, nieprzewidywany, narzucił mnie wam... Wiecie, czy nie, żem niegdy we Francyi z dzisiejszym Ojcem naszym, Papieżem rzymskim, znajomym był blisko i poprzyjaźnionym. Odbывая podróż dla obeznania się z krajami obcemi, gdy się dowiedział, że on zasiadł na Apostolskiej stolicy, udałem się do Rzymu, aby go pozdrowić i ojcowskie otrzymać błogosławieństwo. Zabawiłem w tej stolicy ruin i wspomnień dosyć długo, doznaną od Ojca Świętego jak najlaskawszego przyjęcia. Przyszła podówczas sprawa obsadzenia stolicy osieroconej Gnieźnieńskiej, na którą ks. Włocibora wybrano, a tego sobie Leszek nie życzył

i inni. On się też sam zarzekał ciężkiego dostojenstwa. Jako świadomy położenia kraju naszego, powołany byłem przez Ojca Świętego, abym mu o nim opowiadał. Odmalowałem nieszczęśliwe położenie nasze, rozdrapane to królestwo niegdyś mocne, wojny książąt o kawałki ziemi, nieład, spustoszenie, okrucieństwa, samowolę, nieposzanowanie własności duchownej i prawa... Mówiłem ze łzami prawie i poruszeniem, bo kocham tę ziemię, a los mnie jej obchodzi. Słuchał Papież przez dni kilka boleściwie się użalającego, wreszcie, gdy mnie raz jeszcze o Polskę zagadnął i obsadzenie metropolii, gdym mu potrzebę narzucenia męża silnej woli okazywał, nagle rzekł mi: — Ty jeden nim być możesz! Uwiercie mi, poprzysiądz wam na to mogę, że słowo to, wyrzeczone nagle, na chwilę w słup mnie obróciło. Wziąłem je za żart, nie chcąc wierzyć... Rozśmiałem się. Byłem człowiekiem świeckim, rycerskiemu rzemiosłu oddanym, a choć naukę kochałem, Pismom czytał, a chętnie się mądrym przysłuchiwał, nigdy nie pomyślał o stanie duchownym, nie czuł się godnym niego.

— Ojcze Święty — rzekłem, wskazując na miecz u boku — słowem wojować nie uczyłem się.

— Duch święty cię natchnie — mówił Papież. — Tam trzeba pasterza, coby i wodzem i żołnierzem umiał być. Mnie ciebie tu Pan Bóg na to zesłał i wskazuje, idź i dźwigaj to królestwo, które jest córą apostolskiej stolicy.

Nie poddałem się zrazu woli Ojca świętego, podziękowałem i odszedłem. Nazajutrz kilku innych kandydatów przyniosłem Papieżowi, nie biorąc słów jego za rozkaz stanowczy.

— Tamtych nie znam, rzekł mi — a ciebie od lat wielu. Teologii ci dodadzą scholastycy twoi, kanonicy i kapituła, a serce i wolę ty im zanieziesz. Idź, mówię ci, wzywam w Imię Tego, którego jestem zastępcą na ziemi.

Opierałem się długo jeszcze. Rzekł mi Ojciec święty, że u grobu świętych Apostołów Piotra i Pawła pójdzie o natchnienie się modlić, abym i ja na mszy w krypcie był. Posłusznym byłem. Po ofierze świętej przyszedł do mnie jeszcze w sukniach, w których u ołtarza stał, nie zrzucając ich, i położył mi jedną rękę na głowie, drugą na ramieniu, mówiąc: — Idź! wysyłam cię i błogosławię. Idź! rozkazuję ci!

Takem wreszcie uledez musiał, i oto mnie widzicie ze drżeniem idącego na stanowisko moje.

O. Wincenty słuchał z żywym przejęciem się i łzami na oczach.

— Wola Boża w tem jest — rzekł — a ja się szczególnie cieszę, że się ona teraz objawiła, bo przyniesiecie prędką pociechę panu naszemu, a mnie uwolnicie od obowiązku ciężkiego podróży do Rzymu.

Świnka zbliżył się ku niemu ciekawie.

— Tak jest — kończył kanclerz — pan nasz Przemysław, który wielce boleje nad tem, iż od tak dawna stoi osieroconą ta stolica, wysyłał mnie o to z listami i prośbą do Ojca świętego, aby co rychlej ją obsadzić raczył.

— A miałże kogo na myśli? — zapytał Świnka.

— Nie. Oto są listy, patrzcie i czytajcie. Ziściły się życzenia jego, pragnął męża silnej woli, a takiego w was Bóg mu daje.

Świnka zadumany ręce załamał.

— O dziwne losu zrządzenie! — zawołał. — Jest temu lat około dziesięciu, gdym na dworze książęcym bawił. Był podówczas ów pobożny, istnie świętej pamięci pan kaliski, książę Bolesław. U stołu mowa się wszczęła o ziemi tej i jej losach. Ktoś, nie pomnę, rzekł, że znowu ją pod jedną koronę na głowie Przemysława zjednoczyć potrzeba, Jam to powiedział, czy inny, nie pomnę, a książę dodał, iż chyba ja, arcybiskupem

zostawszy, koronę mu tę włożę na skronie. Patrzcież, jak najnieprawdopodobniejsza rzecz dziś już na pół możliwą się stała... gdy ja, prosty Miles, wyszedł na to dostojęństwo, o którym nigdy nie marzył!

— Bogdajby tak i reszta przepowiedni ziścić się mogła! — szepnął kanclerz. — Że myśl o jedynym królestwie trwa stale w myśli pana naszego, ja o tem wiem najlepiej. Potrzeba powagi i władzy świeckiej jednej nad temi niesfor-nemi książętami, jak w kościele metropolitalnej nad nami.

— Ojciec mój — przerwał Świnka z zapalem młodzieńczym człowieka, który jeszcze się nie starł z rzeczywistością i myśl w sobie żywi, nie widząc przeszkód, jakie jej ziszczenie utrudnić mogą — ojciec mój! W kościele naszym i w kraju naszym, w obyczaju wiele jest do czynienia! Ładu nie mamy. Sami nie wiemy, czem jesteśmy... Niemcami na pół czy słowianami? Wiem, jako król Ottokar skarżył się, iż mnisi obcy Czechy i Polskę zalewają, którzy języka tych ziem nie znają. Wyświęci się li kto z naszych, ślą go Niemcy tam, gdzie się na nie nie zdał, bo rozmówić się nawet nie zdoła. Klasztory, co taką pomocą byłyby duchowieństwu świeckiemu, są jakoby wyspy na morzu — żyją sobie same. Duchowieństwo wiejskie zdala od przełożonych nie kapłański żywot prowadzi. Wszystko trzeba w kluby ująć, wiele naprawić, a to ciężkie *pensum* Bóg złożył na ramiona prostego ziemianina, żołnierza, dobrej woli, ale nieuka i niezdolnego. Jakże się nie mam lękać, czy ja potrafię sprostać temu, czemu świątobliwi poprzednicy moi nie podolali?

Mowa ta poruszyła mocniej jeszcze kanclerza.

— Nie zapominajcież — rzekł poważnie — że większe Bóg cuda czynił z ludźmi, bo na apostołów powoływał celników i rybaków, prostacz-

ków, a nie mędrców ze szkoły i nie uczonych z nad ksiąg. Wy macie wszystko, co mieć potrzeba, gdy jasno widzicie, czego nam braknie. Radować się więc i dziękować Bogu! Hosanna!

— A mnie z pokorą i poświęceniem iść tą drogą ciernistą — rzekł Świnka — bo, że ona różami nie będzie usłaną — wiem zawczasu. Nie-nawisć książąt, przeciw którym wystąpić muszę, niechęć duchownych, których na drogę lepszą zwrócić potrzeba, nieprzyjaźń Niemców, od których się bronić należy — wszystko to mnie czeka!

Przeżegnał się Świnka i dodał, rękę wyciągając do kanclerza:

— Liczę na pomoc waszą, na duchowieństwa czoło, że mnie nie opuści i podeprze.

Gdy to mówili, proboszcz, dosyć wylekły starowina, na stole sam z czeladzią przysposobiał posiłek wieczorny, ubogi, bo go na inny nie stało. Zastawiono misy z rybami, kaszę, grzyby, chleb i co Bóg dał pod ubogą strzechą.

Świnka wstał i zbliżył się do stołu, prosząc kanclerza, aby go pobłogosławił. Gospodarz, ręce na piersiach złożony, wymawiał się, iż tak biednie arcybiskupa przyjmuje.

— Gdybym był zawczasu wiedział — rzekł — posłałbym rybaków sieci zarzucić, możeby co lepszego złowić się udało.

— Mnie, mój ojciec, wszystko dobre — rzekł Świnka wesoło — bom ja nawykł do niewygód i do prostego jadła. Za górami też u Włochów nie popsulem podniebienia, choć tam różne przysmaki dają. Naszym ustom one wstrętne, a lepiej chleb nasz czarny, niż ich białe kołaczki smakuje.

Zaczem siedli, a nominat proboszcza gwałtem przy sobie umieścił, poufale go wypytując o stan parafii, dochody i fundusze kościoła.

— Dajemy sobie rady, jako możemy — mówił proboszcz — choć z dziesięcinami zawsze fra-

sunek wielki i utrapienie. Radzi nas najgorszym snopkiem zbyć. W lasach też i na ziemiach, nadanych probostwu, króluje, kto chce i czyja wola a łaska, nie patrząc prawa. W przejeździe lada urzędnik o plebanie zawadzi, przyjmować go z ludźmi i końmi potrzeba. Ot — żyje się, jak Bóg dał.

— Myśmy też słudzy Boży — odparł nominat — do łatwego a wygodnego życia nie powołani. Widzimy to na zakonach benedyktynów, cystersów, a nawet i innych, jak łatwo człowiek naszego stanu przy dostatku wielkim popsuć się i zleniwieć może. Nie ci oni są, co dawniej byli. Dlatego św. Dominik i Franciszek ubóstwo dzieciom swym nakazali, grosza im brać wzbronili, aby od zepsucia ich ustrzegł. Lecz zakony u nas — dodał — przez to głównie zwietrzały, że obcemi nasadzone były. Ci dobrze wyposażeni nie mieli co czynić, nikt ich, oni nikogo nie rozumieli. Ztąd gnuśność poszła i zepsucie. Swoimi nam je trzeba zaludnić, aby oni z narodem jedno czuli, znali go, a mówić doń i prostować mogli.

Szła tak rozmowa przy krótkiej wieszce, poczem prędko, *Gracje* odmówiwszy, wstali, a Świnka odwiódł kanclerza w róg izby.

— Mówcie mi, jako pan nasz jest? Co z nim?

Długo się na odpowiedź kanclerz namyślać musiał.

— Wiecie, że dwakroć u Ślżaków w niewoli był — rzekł. — Zdaje się, że wtóra ona dobrze poskutkowała: spoważniał, zmęźniał, serce mu pańskie urosło. Dobrego chce. Brak mu dziś takiego pomocnika i radcy, jakiego miał w Bolesławie Kaliskim, i w was, ojczyźnie, mieć będzie.

— Jeżeli ma wolę dobrą, Bóg siły użyczy! — odparł nominat.

— A księżna wasza? — zapytał po małym przestanku.

Kanclerz zaniemiał, oczy spuścił — wzdychał.

— Księżna — odezwał się nie rychło — nie — szczęśliwą jest, bo małżeństwo to nie dobre było dla obojga. Miłości nie było w niem i szczęścia niema. Obawiam się być prorokiem, lecz wkrótce pewnie stracimy panią pobożną, schnącą z tęsknicy i utrapienia. Niewiasty, co ją otaczają, złe są.

— Zawszeż trwają te piastowskie miłości pokątne!? — pytał Świnka. — W nich wszystkich krew niepomiernie gorąca, namiętności niepohamowane. Mało który nie wraca do pogańskiego nałożnic obyczaju, jako oto i węgierski król, choć nie Piast, co się kumankami otoczył, że mu je gwałtem odpędzić musiano!

— Zgorzzenia nowego niema — odparł kanclerz — ale stara ulubienica trwa na dworze. Tej by się zbyć powinien, bo niegodziwą jest i władzę ma. Ona to podobno przyczyną nieszczęścia pani naszej.

— I bezdzietność się też do zniechęcenia przyklada — dodał Świnka.

— A potomstwa nadziei niema żadnej — mówił kanclerz — nieszczęśliwa Lukierda schorowana, jak cień chodzi, litość bierze patrzeć na nią.

— Onże jej dla niej nie ma? — zapytał nominat.

— Nie — odezwał się kanclerz po cichu. — Niecierpliwi się pono i zżyma. Biedny jest, i nas, że patrzeć musimy na domową dolę jego, nieszczęśliwymi czyni.

Po tej cichej rozmowie, gdy w jednej izbie pościeli kłaść zaczęto, kazał Świnka kanclerzowi też przy sobie się położyć, aby na zimnie i niewygodzie nocy nie przebył, co by staremu szkodzić mogło.

Kłaklszy na wieczorną modlitwę, kanclerz mógł podziękować Bogu. Spokojnym powracał; zbliżenie się do Świnka przekonało go, iż istotnie w mianowaniu tem była Boża łaska, gdy w chwili tej właśnie, męża ducha wielkiego wymagającej, on wchodził na stolicę.

Takim wybranym od Boga wydał mu się Świnka.

Człowiek świecki, który nie wziął jeszcze namaszczenia, przynoszącego łaski stanu — miał on już pojęcie ciężkich obowiązków, jakie nań spaść miały. Mąż był w sile wieku, do walki nawykły, znający świat nietylko swój, ale otaczający, bo całą niemal Europę za młodu przewędrował.

Nazajutrz rano wstali wszyscy o brzasku, i w kościółku wiejskim słuchał przysły arcybiskup mszy, której sam jeszcze nie miał prawa odmawiać, bo święcenia miał odebrać dopiero po przybyciu do kraju, razem kapłanem się stając i arcybiskupem.

Wprost z kościoła, po skromnym obiedzie, Świnka, kanclerz i cały orszak wyruszyli do Poznania. Ks. Wincenty radował się niewymownie, iż podróż swą skończył tak szczęśliwie, nawet za granicę się nie wychyliwszy.

Świnka niezbyt śpieszył — ciągnęli małemi dniami. Było to jakoś w pierwszej połowie Grudnia. Zima się dopiero rozpoczynała, gruda ostra przykrą czyniła drogę, której śnieg jeszcze nie okrywał. Jechali, zmuszeni zatrzymywać się dla podbitych koni i dla podków gubionych. Stawali więc spoczywać mimowoli.

Miał czas towarzyszący nominatowi kanclerz szeroko się z nim rozmówić o potrzebach kościoła i kraju, o wszystkim, co dolegało i co było do naprawy.

Po drodze zamierzał Świnka skromnie i po cichu odwiedzić Poznań, pana swojego powitać i prosić go, aby przybył na uroczyste

wyświęcenie, które natychmiast odbyć się miało.

Przodem wysłani do Gniezna gońcy do biskupów i do księcia mieli ich wszystkich wezwać do Kalisza.

Nie chciał zwlekać objęcia stolicy swej Świnka, bo ta i tak za długo już opróżnioną była.

Po drodze nie minęli żadnego kościoła i klasztoru, do którego by nie wstąpili; korzystał i z tej podróży nominat, aby bliżej poznać stan duchowieństwa i kraju.

Niespodziewanie zjawiając się, trafił na otwarte rany, których pokryć nie miano czasu.

W klasztorach, jak mówił Świnka, panowała wszędzie obczyzna; Niemcy, Włochy, Francuzi zapelniali je, a czując się wyższymi umysłowo od krajowców, lekceważyli ich sobie i władzę, jaka w ich ręku spoczywała. Świnka, obeznany z językami i obyczajem zachodnim, był dla tych przybyszów groźnym, bo mu wyższością swą nawiązywać się nie mogli. Wracał z Rzymu, miał nawet tę powierzchowność pół-cudzoziemską, która u nas zawsze, od wieków, dawała powagę i więtość. Był to właśnie mąż, jakiego pod te czasy rozprzeżenia kościół polski potrzebował.

Dnia 15 grudnia zbliżył się do Poznania, w którym się na noc stanąć spodziewali, gdy popasając w gospodzie na wielkim gościńcu — postrzegli dwóch ziemian, przybywających do niej na zhasanych koniach.

Jedna izba gościnną była zajęta przez nominata i dwór jego, jeźdźcy więc ani koni, ni siebie nie mając gdzie schronić, już mieli odciągać dalej, gdy Świnka, zobaczywszy ich, do izby swej powołać kazał.

Dowiedzieli się od dworzan, kto był.

Wezwani byli dwaj ludzie młodzi, po których ubraniu i rynsztunku poznać było można, iż do zamożniejszych rodzin liczyć się musieli. Oba, próg przestąpiwszy, gdy mieli powitać duchow-

nych, tak się wydali im pomieszani, niespokojni, pod wrażeniem jakimś świeżem i przykrem — że Świnka, nawykły czytać z ludzkich twarzy, co się w ich duszy działo — nie mógł się wstrzymać od zapytania:

— Cóż się to wam w drodze nadarzyło, że tak nie swoi wyglądacie?

W istocie oba młodzi dyszeli, rzucali się, patrzyli, jakby na pół przytomność postradali.

Jeden zwłaszcza, którego towarzyszył hamować się starał, zdał się rozpaczającym.

— A! w drodze — zawołał głosem namiętym, odpowiadając nominatowi — w drodze nie nam się nie stało, ale od rana niesiem się z tem nieszczęściem, z tą zbrodnią, która najobojętniejszego do wściekłości by pobudziła!

— Cóż to jest? — podchwycił kanclerz.

— Chrześcijanin do wściekłości nigdy się nie winien dopuszczać — dodał Świnka.

— Jakto? — wybuchnął przybyły — miałby patrzeć obojętnie, gdy się takie zbrodnie dzieją? gdy niewinni cierpią męczeństwo? Dusza musi poruszyć się i wołać o pomstę do Boga.

I ręce podniósłszy do góry, młody przybysz, jakby go ani przytomność obcych, ani dostojęństwo ich nie zdołało pohamować — począł, głos podnosząc, wyrzekać.

— Nie żyć już na tej ziemi! nie patrzeć na taką szkaradę! Lepiej do obcych na pustynię!

— Na Boga upamiętajcie się! — przerwał Świnka — uspokójcie. Kto wy jesteście! o czem mówicie? Twarz wasza zda mi się znajomą!

— Ja też Miłość Waszą widziałem przed laty — odparł przybyły zawsze tym samym namiętym i przerywanym głosem. — Byłem niegdyś na dworze tego pana, który się stał niegodnym imienia chrześcijańskiego księcia. Jestem Michno Zaręba. Porzuciłem księcia Przemysława, nie mogąc patrzeć na jego obchodzenie się bezduszne

z księżną — porzuciłem go, a teraz, teraz po świecie szukać będę dla niej mścicieli! Nie go-dzien jest siedzieć na tej stolicy i żeby go ziemia nosiła.

— Człecze szalony! śmiesz to mówić przede mną? — przerwał mu Świnka z oburzeniem. — Gdy-bym świeckim był jeszcze, skarciłbym cię za to, bo szanuję pana tego.

— Szanujecie go, bo nie znacie, jak ja! — krzyknął Zaręba. — Nie byliście w kraju, nie wie-cie, na co pozwalał, co się działo! Was to nie doszło, na co my oczymaśmy własnymi patrzyli.

— Nie sądź, abyś sądzonym nie był — pod-chwycił kanclerz. — Człecze! upamiętaj się!

— Ja chcę być sądzonym! — odparł Zaręba. — Nie mam na sobie nieszczęścia niczyjego, ani łez krwawych. Gdybym mógł, stanąłbym przeciw niemu na sąd Boży!

— Raz jeszcze ostrzegam cię — groźno za-wołał Świnka — powściągnij język swój, przede mną stojąc. Dałem wam się schronić nie po to, abym słuchał obelżywych wyrazów na pana me-go. Chcecie spocząć, milczeć nakazuję. Dość tego.

— A wiecie, za co ja wołam o pomstę do Boga i dla czego milczeć nie mogę? Wiecie, co się stało? — rzekł Zaręba.

Kanclerz przystąpił doń niespokojny, wo-lając:

— Stało się co? mów!

— Stało się — krzyknął Zaręba, ręce do gó-ry podnosząc — to, na co się zdawna gotowało! Wiedziałem, że się to tak skończyć musi. Dzisiej-szej nocy z rozkazu księcia służebne udusiły Lu-kierdę!

Okrzyk zgrozy dał się słyszeć z ust wszyst-kich.

— Nie może to być! potwarz jest! — zawołał kanclerz.

— Potwarz! — zaśmiał się Zaręba dumnie. —

Ja wracam stamtąd, jadę z Poznania! Jedźcie, posłuchajcie, w ulicy wam lud powie, co się stało! Zabójstwo było jawne, wie o niem cały świat. Jęczy lud wszystek. Tak! zaduszono nie-szczęśliwą!

Zareba jęknął, uderzył się w czoło, rzucił ku drzwiom i jakby spełniał obowiązek, rozwożąc wieść o morderstwie, siadł na koń z towarzyszem, lecąc dalej.

III.

Noc z dnia trzynastego na czternasty grudnia na zamku w Poznaniu była przygotowaną już dniem poprzedzającym.

Mina, zrozpaczona oziębłością księcia, rozgniewana, odgrazając się zemstą jakąś, kilka razy wpadała do Lukierdy i napatrzywszy się na nią płaczącą cicho, zdrętwiałą, na pół oszalałą cierpieniem, cofała się, nie mogąc zdobyć na krok stanowczy.

Wieczorem wezwała do siebie Bertochę i poić ją zaczęła.

— Słuchajno—rzekła drżąc cała—trzeba raz z nią skończyć. Przysięgam ci, że on sam mi powiedział: «Niech mnie od niej uwolnią!» Tak! rozumiesz ty, co to znaczy? Dwa razy mi to powtórzył. On chce, aby był koniec temu.

Bertocha, która prześladowała Lukierdę z zjadłością zwierzęcia, co szarpie stworzenie bezbronne—ocieżała, wahająca się, gdy przychodziło do stanowczego ciosu—na zbrodnię nie miała dosyć odwagi.

Zamruczała, głową pokręciła, ramionami poruszyła, obawiając się szalonej Miny; gotową była męczyć—ale zabić! A tu niewątpliwie o morderstwo chodziło!

— Ona i tak lada dzień zdechnie — zamruczała, popijając. — Ja się na tem znam. Nie jedną już taką widziałam! Gdy idzie do kościoła, słania się jak pijana, tehu już nie ma, raz wraz chwytła się za piersi wyschłe — nie je, nie pije — ino wodę. W nocy rzuca się, jęczy i płacze.

— No, to po cóż dłużej ma męczyć nas i jego. Ja ci powiadam, on mówił sam, że chce, aby go od niej uwolniono!

Bertocha krzywiła się, spuszczała oczy, z widoczną niechęcią słuchała tej rozmowy.

Mina dolewała jej ciepłego wina z korzeniami, biegła, rzucała się jak w gorączce.

— Nie! to trzeba skończyć... trzeba skończyć jak najprędzej!

Nachyliła się do ucha Bertochy i szeptała:

— Jak kurczę ją zdusić łatwo! Zobaczysz... hojnie za to nagrodzi! Ona mu już tu! Prosi, aby go od niej uwolnić!

Nikt w świecie wiedzieć nie będzie. Chora była, umarła!

— Ty i ja... nas dwóch dosyć — dodała z zjadłością Mina. — On kazał! kazał!

Bertocha podniosła oczy, wino ją czyniło mężniejszą.

— Weźmiemy po niej wszystko! Ja dla siebie nie chcę nic! Ma jeszcze dosyć klejnotów, które w skrzynce zamyka... są ciężkie łańcuchy... bierz ty... bierz co tylko jest!

Niemce oczy coraz zaczynały gorzeć jaśniej. Wstała.

— Dobrze to mówić—poczęła trochę ochryplym głosem. — Ja wszystko wiem! Będzie kto słaby, konający, a jak przyjdzie duszy z ciała wychodzić — broni się okrutnie — ni jej podolać! Małe dziecko trudno udusić — a co dopiero niewiastę!

— Co? ona za małe dziecko siły nie ma — przerwała Mina. — Gdyby jej pod boki nie trzy-

mali, do kościoła by się nie zawlekła... przez izbę idąc, chytyła się za ściany i ławy.

Bertocha wciąż niedowierzająco trzęsła głową.

— Ty myślisz — mruczała — z temi książętami dobra sprawa? Ja i to wiem. Powie: uwolnić mnie od niej, powie: zabić, potem sam ręce umyje i kołmi rozszarpać każe! I to bywało! Co ich kosztuje słowo, albo ludzkie życie?

— Otóż ja lepiej go znam, niż ty! — odburknęła Mina.

— Nieprawda — oparła się Bertocha. — Jeszcze o tobie tu słuchu nie było, kiedym ja go małym chłopcem znała — i dobrze znała! Byłam ci i ja młodą!

Uśmiechnęła się znacząco.

— Ktoby im wierzył! zaklnie się na wszystko, a potem... wiecheć!

Miny nie nastraszały te proroctwa. Wrzała gniewem, pilno jej było. Powiedziała sobie, że dłużej już nie wytrwa. Inne sługi ma zjednane, gotowe były przyjść w pomoc, trzeba jej tylko było zyskać Bertochę, aby mieć w niej współniczkę, nie wroga.

— Wszystkie klejnoty twoje! — mówiła, ścisakając ją. — Mało ci tego, ze swoich dam! Ja z dziewczętami zrobię wszystko, ale ty musisz być ze mną! Ona dziś ledwie chodzi, krzyczy nie będzie, nie posłyszysz nikt — zobaczysz.

Bertocha, która już z ławy powstała, jęcząc na nią się rzuciła.

— Nie chcę — rób sama!

Niemka wina jej doląła.

— Pij no, pij — tchórz z ciebie — zawołała. — Dziś z nią skończymy. Ty musisz! Ja mogę, a żebyś ty nie chciała? On czeka na to, każe, nagrodzi. Nikt słowa nie powie. Umarła, i po wszystkim.

Piła zamyślona Bertocha, a po głowie się

jej kręciły klejnoty — i rozkaz księcia i zapewnił na bezkarność łatwej zbrodni.

Ciągle rozmowy o śmierci blizkiej a nieuchronnej Lukierdy uczyniły ją prawie obojętną na nią.

Mina, czytając z niej, coraz pewniejszą była swego. Wybiegła prędko podpatrzeć, co robiła Lukierda.

Jak zwykle, w izbie jej sypialnej jedna lampka płonęła przed obrazem, druga na stole. Mroki panowały po kątach. Szerokie łóżce z rozwartymi oponami jeszcze stało puste.

Księżna chwiejąc się chodziła po izbie ciemnej. Przyklękła raz przed obrazem Matki Boskiej, złożyła ręce, modlić się zaczęła i szlochała. Padła na ziemię, a gdy podnieść się chciała, musiała chwycić za ławę i z ciężkością wstać mogła.

Godzina już była, w której do snu szła zwykle, lecz z pójściem do łóża zwlekała. W niem sen jej nie brał, a jeśli skleił powieki, przerywały go marzenia. Zrywała się płakać, jęczeć, czasem zanucić i znowu paść na poduszki.

Mina do połowy drzwi rozwarła, rzuciła okiem chciwem, śledziła każdy ruch pilnie, każdą oznakę znękania i osłabienia.

Widziała, jak się za piersi chwytała, chwiała, słabła i spuściwszy głowę, przypadła na ławie. Potem podniosła ją nieco, sparła na ścianie, dyszała ciężko, w gardle jej odzywało się coś, jakby chrypliwy głos konania.

Mina wpadła nazad do izby z rozpaloną twarzą. Po drodze coś szepnęła dziewczętom, które stały gromadą i czekały... Były to pospolite służebne, dziewczki silne, jak parobcy, zuchwałe, życiem wśród dworu zepsute, a tego wieczora miodem przez Minę spojone.

Śmiały się i szydziły, czekając. Nic ich to nie obchodziło, co z rozkazu starszych uczynić miały.

Bertocha po kubkach drzemała i dumiała, gdy niemka wróciła. Dotknęła ją ręką rozpaloną, namiętnie drżącą.

— Czekać trzeba, aż się położy—mruczała—wówczas...

Bertocha upojona skinęła głową potwierdzająco. Wmówiła już w siebie, że gdy Mina razem z nią iść miała, niebezpieczeństwa nie było. Dziewki mogły zrobić co trzeba, im dosyć było skinać na nie.

— Poduszki leżą przy łóżku na boku! — wołała przerywanym głosem Mina. — Gdy się położy, rzucim na nią; głosu nie wyda, znaku nie będzie.

Szeptaly już z sobą zgodnie.

Bertocha, gdy raz na to przystała, także corychlej skończyć chciała, uwolnić się od oczekiwania, które ją męczyło.

Mówiła sobie, że najpierwsza natychmiast pobieży do księcia i da mu znać, że chora pani—umarła...

Wstała, chcąc iść.

— Czekaj! — zatrzymała ją Mina — siedź tu, pójdę, zobaczę... Nie trzeba jej płoszyć. Niech się położy i zadrzemie. Tak będzie lepiej i łatwiej.

Powtórnie wybiegła Mina i przysunęła się do drzwi.

Lukierda chodziła znowu, nuciła coś półgłosem, ślaniała się jak wprzód, chwytiała za piersi i głowę.

Wysłała do niej jedną z dziewcząt, aby jej godzinę snu przypomniiała.

Śmiało weszła, nawykła do obchodzenia się z księżną, bez względu na jej dostojność i chorobę, jedna z najzuchwalszych służebnych.

Stała, zakładając ręce na piersiach.

— Czas wam spać! — odezwała się.

Lukierda spojrzała na nią bez odpowiedzi.

— Czas iść spać! — powtórzyła — a to my dla was na nogach być musimy. No, czas spać! — zawołała raz jeszcze, głos podnosząc i szydząc.

Księżna nie odpowiadała. Chodziła powoli, przywykła była do takiego sług znęcania się; odrętwiała już na nie.

Kilka razy powtórzywszy coraz zuchwalej to napomnienie, dziewczka przystąpiła do księżnej, za rękę ją ujęła i niemogącą się obronić powlokła do łóża.

Lukierda osłabła usiadła na niem, lecz w tejże chwili wstała prędko nastraszona i przechadzać się zaczęła.

Drugi raz spróbowała dziewczyna za rękę ją ująć. Siłą jakąś gorączkową wyrwała się jej księżna, popatrzała ze wzgardą i odeszła w drugi koniec izby. Mina, przyglądając się temu z za drzwi przymkniętych, żyziała.

Dziewczyna odeszła pomrukując. Szeptaly wszystkie, stojąc pode drzwiami; głosy ich dochodziły księżną, ale to było powszednie z niej i jej nieszczęścia urągawisko. Łzy się rzuciły z oczów, płakać zaczęła.

Mina dała im znak. Wiedziała, że po takim płaczu gwałtownym sen ją brał zawsze osłabłą.

Lecz Lukierda, zamiast iść do łóża, weisnęła się w róg izby i oparłszy o ścianę, oczy zamknęła.

Godzina była późna w nocy.

Mina i Bertocha czekały, kazawszy sobie dać znać, aż księżna sama się położy.

Czekały napróżno.

Kury piałły już drugie. Lukierda drzemała, oparta o ścianę; dziewczęta patrzyły przez szparę, niecierpliwiąc się i przeklinając.

Mina chodziła po swej izbie, teraz już potrzebując hamować Bertochę, która wyrwała się iść i kończyć... Była wpół pijana.

— Kiedy kończyć, to kończyć! — powtarzała. — Chodźmy! Zabijemy ją jak muchę!

Było po północy, gdy jedna z dziewcząt przybiegła, dając znać, że Lukierda poszła do łóża.

Zerwały się obie kobiety, lecąc pędem. U progu coraz ciszej stapały, dziewczkom nakazując milczenie.

Otworzy drzwi, na palcach weszła cała gromada.

Już się podsuwały pod łóżę, gdy nagle Lukierda, jakby miała przecucie napaści, siadła na łóżu. W mroku ujrzała tę gromadę, zbliżającą się w milczeniu, i wydała okrzyk przeraźliwy, rozdzierający, który rozległ się wśród nocnej ciszy.

Mina struchlała; nie chciała wierzyć uszom, aby ten głos tak silny, który mógł ludzi na zamku pobudzić, wyszedł z piersi wyschłej i osłabłej.

Księżna, drżąc, oczyma straszniemi patrzyła na nie, ręce jej wyciągnięte, jak do odepchnięcia napaści, skołowały w konwulsyjnym ruchu.

Była to nie już przed chwilą dogorywająca, schorowana niewiasta, ale istota broniąca życia swego siłą ostatkiem...

Mina, zawahawszy się chwilę, ogarnięta wściekłością jakąś, pierwsza się rzuciła na nią. W tej chwili Lukierda z łóża wyskoczyła na izbę, biegła ku drzwiom, od których dziewczki zastępowały, odpychając ją, nie puszczając.

Księżna poskoczyła ku oknu z szybkością, która zdumiała kobiety, co ją niedawno ledwie poruszać się mogącą widziały. I tu znalazła już rozpostarte ręce, co jej ucieczkę zapierały.

Mina, opamiętawszy się, jak szalona pędziła za nią. Bertocha stała jeszcze przerażona, gdy za niemką rzucili się służebne i walić się wszystkie na krzyżącą i opierającą się Lukierdę, pociągnęły ją za sobą na łóżę.

Mina ogromną poduszkę, którą miała już przygotowaną, narzuciła jej na głowę i rozpaczliwy krzyk stłumiła.

Widać było konwulsyjnie poruszające się ciało biednej męczennicy, potem ręce i nogi wyciągnięte straszliwie skostniały, zdrewniały i bezsilne opadły.

Niemka dusiła z całych sił, a dwoje dziewcząt z zajądlnością jej dopomagało.

Krzyki i szamotanie się ustały, nastąpiła cisza złowroga. Bertocha z obawą przystąpiła, spoglądając na łóżę, ale twarzy księżnej widzieć nie mogła, bo poduszki okrywały głowę, a palce Miny, jak szpony wciśnięte w nie, dusiły jeszcze już zaduszoną.

Twarz mściwej dziewczki była dzikim szaleństwem jakimś zmienioną, zęby ściśnięte zdawały się chcieć pożerać ofiarę... Nie mogła, czy nie śmiała jej puścić, aż sił zabrakło, i Mina, znużona, pochyliła się, padając na podłogę. Bertocha odgarnęła poduszki. Z twarzą, na której wypiętnowały się męczarnie zgonu, z oczyma krwią zabiegłymi i już zeszkłoniemi, leżał siny trup Lukierdy.

Widokiem jego Bertocha się wytrzeźwiła. Strach jakiś ogarnął wszystkie niewiasty.

Mina tylko, podniósłszy się z ziemi, obłąkana, rwać zaczęła trupa i układać, aby na nim śladu gwałtownej śmierci nie było. Lecz już się on nie dawał zetrzeć.

Dziewki i dwie mordy sprawczynie stały jeszcze nad łóżem, a poduszka, obok leżąca, zgnieciona i zmięta, świadczyła o tem, co się tu przed chwilą dokonało, gdy drzwi się otworzyły i z lampką w rękę wpadł książę.

Krzyki doszły uszów jego — szedł, przecuwając coś, przelekły, a dość mu było okiem rzucić na twarz Miny, na łóżę, na dziewczki, jeszcze po walce drżące nią, z włosami potarganemi, aby całą straszną prawdę odgadnąć.

Książe przyskoczył do łoża i stanął przy nim zbladły jak trup, oczyma błędnymi rzucając dokoła. Mina wlepiła w niego wejrzenie zwycięskie jakiegoś, oszalałego — nie uciekała, ani się zapierała.

Przemysław nie mógł przemówić, dyszał wzruszony, zdjęty oburzeniem i grozą. Oczy jego z trupa obróciły się na kata.

— Masz, czego chciałeś! — zawołała niemka — powiedziałeś sam: uwolnijcie mnie od tego trupa... Spełniłam rozkazanie twoje. Tyś rzekł...

I wskazała nań palcem zuchwale. Książe, posłyszawszy to, chwycił nóż, który miał u pasa, podniósł go i cisnął nim na Minę. Oczy jego płonęły, usta się trzęsły.

Niemka chciała go wyzywać jeszcze, lecz strach ją ogarnął nagle, z krzykiem rzuciła się do drzwi. Przemysław gnał ją, podniósłszy rękę do progu, tu wysiłony padł na ławę, ręce bezsilne obwisły.

Dziewki i Bertocha stały jeszcze dokoła łoża.

Książe, nie patrząc na nie, nie rzekłszy słowa, rzucił okiem przestraszonym ku łożu i, nie mogąc znieść widoku, wysunął się z izby, z pod-sienia, wyszedł na chłód zimowy — stanął wryty.

Tu go spartego o słup zastał czuwający ks. Teodoryk, który czatował nań, śledząc każdy krok jego.

Słabym głosem, chwytając go za rękę, książe się odezwał:

— Lukierda... nie żyje! Ojcie, popełniono zbrodnię, zabójstwo! Jam nie winien! Jam nie winien!

Teodoryk podniósł oczy ku niemu.

— Któżby śmiał was obwiniać? — rzekł drżący. — Wy sami nie dawajcie pozorów. Idźcie spokojnie do mieszkania; mnie zostawcie starania wszelkie.

To mówiąc, lektor ujął go za rękę i popro-

wadził do sypialni, sam zaś natychmiast poszedł do sypialni księżnej.

Zastał tu jeszcze wszystko, jak było przed chwilą; Bertocha tylko usiadła na ziemi, nie mogąc się na nogach utrzymać. Dziewki cisnęły się do kątów i popadały na ławach. Trup leżał pokureczony, zastygły, siny i blady...

Łoże poszarpane, poduszki zmięte i podarte, na jednej z nich plama krwi świeża, świadczyły o popełnionej zbrodni.

Ks. Teodoryk, stanawszy u łoża, choć jako duchowny, codzień się niemal z widokiem śmierci spotykał, zdrętwiał ze strachu i oburzenia. Łza mu się zakręciła w oku, ale nie czas było boleć, należało pana ocalić i dom ksiązęcy od poszlaku zbrodni oczyścić.

Ksiądz natychmiast rozkazał Bertosze i sługom przyodziewać zwłoki i złożyć je tak, ażeby śladów gwałtu na nich nie było.

Wszystkie one, co na żywą nie lękały się rzucić, teraz zmarłej dotykać się bały; lecz ks. Teodoryk znalazł w sobie dość siły, aby nakazać posłuszeństwo.

Głos jego, suknia, trwoga, która ogarnęła służebne, zmusiły je, iż przystąpiły do zwłok, a Bertocha pierwsza poczęła ręce wyciągać, składać i powieki zamykać.

Do drzwi doszedłszy, zawołał ks. Teodoryk na komorników, którzy się pobudzili, i u progu postawił ich na straży, a jednego posłał do kościoła.

Uderzono w wielki dzwon na zmarłych.

Na całym zamku, w którym już wprzód poruszenie jakieś czuć się dawało, odgłos ten dzwonu, bieganie czeladzi rozbudziły śpiących. Kto żywy wybiegał, rozpatrywano się, skupiano.

— Księżna umarła! — wołali jedni.

— Księżnę uduszono! — szeptali drudzy.

Oskarżano Minę jawnie, bo widzieli strażnicy

wybiegającą z mieszkania księżnej i jak szaloną kołującą po podwórzach.

Z dziewcząt, które do mordu nie należały, wiele o nim wiedziało, inne pode drzwiami przypatrywały się, gdy go spełniano.

Rozniosło się opowiadanie o nim po zamku, po mieście. Z nocy stał się dzień i trwoga jakaś padła na ludzi. Gromady ludu zbierały się na podwalach, cisnęły do wrót, krzyki, jęki i odgryzania słyhać było.

Minę, gdyby się naonczas pokazała, rozszarpałoby może pospólstwo, ją za główną uważając sprawczynię.

Inni głośno obwiniali samego księcia. Dzwony żałobne wtórowały temu wrzaskowi tłumu. Bramy zamku musiano podwójną strażą obstawić.

Wewnątrz kasztelan Tomisław, choć nie miał wydanych rozkazów, usłyszawszy o mord obwiniających Minę, posłał szukać jej.

Ludzie wpadli do mieszkania, które zajmowała, znaleźli w niem nieład, skrzynie pootwierane, suknie porozrzucane, lampkę płonącą jeszcze — ale Miny ani śladu. Mówiono, że wprost od trupa skoczyła na konia, wrota sobie kazała otworzyć, i nim w zamku się poruszono, uszła. Ścigać ją nie śmiał kasztelan.

Ks. Teodoryk sam zajmował się przygotowaniem do pogrzebu, tak, aby z dniem nadchodzącym ciało wystawione być mogło i przeniesione do kościoła. On o wszystkim pamiętać i rozporządzać się musiał, bo książe siedział niemy, przybity i na pytania nie odpowiadał.

Z miasta od jednego z tych cieśłów, którzy się zajmowali wyrabianiem trumien, jakich naonczas używano, wydrażanych w jednej sztuce dębowego drzewa i wiekiem pokrywanych — sprowadzono taką kłodę dębową i pokryto ją suknem szkarłatnem.

Te, co zamordowały księżnę, zmuszone były

same ją odziać i włożyć do trumny. Ks. Teodoryk najwspanialsze kazał wydobyć szaty, ale gdy tych szukać przyszło, okazało się, że i one i klejnoty, opony i wszystkie bogactwa Mina sobie przywłaszczyła.

Stamtąd więc musiano je przynosić, choć nie całą już grabież znaleziono.

Długa noc grudniowa zbiegła na tych przyborach do pogrzebu, których ks. Teodoryk nie odstępował. Nad ranem leżała już Lukierda w trumnie, w szatach książęcych, a dokoła stały pozapalane ogromne pochodnie i duchowieństwo z katedry otaczało katafalk, śpiewając modlitwy za umarłych.

Pomimo starań, aby lice jej, które pobielono, nie zdradzało tajemnicy straszliwej nocy, wyraz twarzy napiętnowany był nie spokojem konania, ale męczarnią. Dla nikogo nie było wątpliwem, że nieszczęśliwa Lukierda padła ofiarą jakiejś zbrodni, której przyczyn szukano wysoko.

Szemrano przeciwko księciu.

Przemysław całą noc tę straszną przesiedział w izbie swej, nie słysząc, co mu donoszono, nie rozumiejąc, co mówiono do niego.

Choć nie czuł się winnym tej zbrodni, miał ją jednak na sumieniu. Niebaczny wyraz jeden, wyrzeczony w chwili zniecierpliwienia, Niemka mu rzuciła w oczy, jak policzek! Obwiniła jego o śmierć księżnej!

Nad rankiem, jakby ocknąwszy się, Przemysław kazał kasztelana przywołać do siebie.

— Gdzie jest Niemka, Mina? — zawołał. — Jeśli znajdziecie ją, uwięzić... jeśli zbiegła, szukać... Jam nie winien tej śmierci! Jam nie winien!

Powtarzał te wyrazy, którei więcej się obwinił, niż oczyszczał, nie bacząc, jakie czyniły wrażenie. Kasztelan natychmiast rozesłał pogonie, ale przewidzieć było można zawczasu, iż zrzeczna a śmiała Niemka, dla której męską odzież

łatwo wdzać było, która miała przyjaciół i zauszników, łatwo mogła ujść ścigającym.

Blady dzień zimowy wstał nareszcie nad zamkiem, we wszystkich kościołach bito we dzwony. Pomimo grudniowego chłodu, lud, który się u wrót gromadził, nie ustępował; a gdy je nareszcie otworzyć musiano, wlał się cały na podwórcę i do kościoła.

Ciało Lukierdy jeszcze w sypialni na marach leżało. Od księcia przyszły rozkazy, aby pogrzeb uczynić jak najwspanialszym. Przemysław nie ukazywał się jeszcze. Na tem samem miejscu, na które padł powróciwszy, siedział, nie mogąc się poruszyć, drżący, zziębły, obłąkany...

Takim znalazł go ks. Teodoryk, który, gdy wszystkie przygotowania ukończone były, pomyślał nareszcie o panu.

— Miłościwy książę — odezwał się — męskie serce przystało mieć i w najcięższych razach.

Przemysław oczy podniósł.

— Obwiniają mnie? — zapytał — prawda, mnie winią? Mów! Palcami wytykać mnie będą, jako zabójcę? Jam nie winien! Ta niepocziwa niewiasta dopuściła się zbrodni... Jeśli ją pochwyć, kołem bić i kołmi poszarpać każę!

Ks. Teodoryk milczał, głowę spuściwszy.

— Ale któż uwierzy w niewinność moją? — począł książę. — Nie żyłem z nią... była bezpocemną, powiedzą, że ja chciałem pozbyć się chorej, wstrętliwej niewiasty.

— Ojczy, mów!

Patrzył trwożnie.

— Jam ani słuchał, co mówić mogą, anim się chciał dowiadywać — rzekł ks. Teodoryk spokojnie. — Pospólstwo może pleść potwarze, ale cóż gawiedzi głośno ważyć?

A po chwili dodał:

— Miłościwy panie, aby usta zamknąć lu-

dziom, potrzeba iść do kościoła. Musicie być na pogrzebie przytomni.

Przemysław, jakby nie słysząc, rzekł żywo:

— Niech będzie wspaniały pogrzeb, najwspanialszy! Niech trwa nabożeństwo... Proście biskupa, mówcie duchownym, niech się modlą za nią!

— Duchowieństwo ze wszystkich kościołów i klasztorów już zwołane — rzekł uspokajając Teodoryk.

Przemysław kazał sobie podać szaty urozyste: ubierał się, a raczej dawał się odziewać, drżąc jeszcze... Gdy wychodzić przyszło, rzucił się na ławę bezsilny.

Ks. Teodoryk, widząc go osłabłym, winą przyniesie kazał i zmusił go do wypicia pół kubka. Jadło przyniesione odepchnął.

Nim wyszedł książę, wydał rozkaz jeszcze, aby całą służbę żeńską zamkową natychmiast precz wyżeniono.

Ks. Teodoryk uczynił uwagę, czy nie lepiej ją było zatrzymać pod strażą, aby bezkarnością nie dać powodu do obmowy.

Nie odpowiadając mu, książę dał znak tylko, aby postąpił, jak sam zechce. Lektor rzędził tu teraz wszystkim: rozkazy wydawał, nikt mu się nie śmiał sprzeciwiać.

W biały dzień już wzięli komornicy trumnę na barki, którą ledwie dwunastu ich mogło podźwignąć, i wraz z duchowieństwem zanieśli do kościoła.

Trumna odkryta była, ale niesiona górą, zwłok dojrzeć nie dozwalała.

Komnaty Lukierdy stały teraz puste i na oścież otwarte.

Bertocha leżała w gorączce, dziewczki pod straż oddano.

We dworze panowało zamieszanie i trwoga. Księżna obudzała litość u wielu świadków swego

losu, która się teraz w oburzenie zmieniała przeciwko mordercom. Powieści o tej strasznej nocy, z ust dziewcząt pochwytane, chodziły z ust do ust, coraz powiększane i barwione.

Przemysław we wszystkich niemal budził wstręt i trwogę, jako bezlitośny okrutnik. Mogło się to stać bez jego wiedzy?

Niewielu starało się na próżno dowodzić, że księżna zmarła śmiercią, dawno już przewidywaną — nikt im nie wierzył. Byli ludzie, co krzyki słyszeli, Mina uciekła, dziewczęta plotły i oskarżały wszystkich, aby siebie oczyścić.

Było już blisko południe, gdy książe, odziany żałobnie, w towarzystwie ks. Teodoryka, mając u boku kasztelana Tomisława, wyszedł z izb swoich do kościoła. Podwórze pełne było ludzi.

Zaczęto mrużyć: Idzie! i oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. Gdyby nikt i nie go nie obwiniąło, samo oblicze nagle zbladło, błędny wzrok, wyraz trwogi, wstydu jakiegoś, upokorzenia, które się przez przybraną przebijają dumę, wskazałoby go jako winowajcę.

Ludzie zdala patrzali milczący i mówili w duszy: — On ją zabił!

Chciał iść krokiem bezpiecznym i śmiałym, lecz płatały mu się nogi, na skroń występował pot kroplisty, palily go tych wejrzeń tysiące, które czuł, że nań padały, jak kamienie. Rad był pośpiechem skrócić niedługą drogę do kościoła, która mu się wiekuistą wydawała — nie skończoną.

Ks. Teodoryk hamował kroki jego. Stapać musieli powoli wśród tego milczącego tłumu, wprost idąc na światła, palące się u trumny, w której Przemysław, nie widząc jej, oglądał trupa oczyma duszy, takim, jakim go widział w chwili po zgonie.

Mimowolnie na myśl mu przyszło, jak na ten zamek wjeżdżali po raz pierwszy, jak ona, drżąca,

blada, szła klęknąć u tego ołtarza, przed którym teraz leżała bezduszna.

Nim Przemysław doszedł do drzwi kościelnych, z których coraz głośniejsz rozlegał się płaczliwy śpiew księży, wszystkie siły jego się wyczerpały, musiano go w progu podtrzymać, aby nie padł... Chciał tu stanąć, wiedziono go dalej, aż pod samą tę trumnę na podwyższenie, z którego twarz jej miał ujrzeć.

Gdy nareszcie wstąpił na stopnie siedzenia i rzucił okiem na blade lice — zdało mu się, że usłyszał głos, wychodzący z ust zamkniętych:

— Przebaczam ci, lecz Bóg...

A z głębi kościoła przynosił mu szmer tłumowa słowa Zareby:

— Karan będziesz śmiercią gwałtowną, jaką poniosła ona...

IV.

Pogrzeb księżnej jeszcze się nie dokonał, ciało właśnie do grobów spuszczać miano, gdy na zamek wieść przyniesiono, że mianowany przez Papieża arcybiskupem Gnieźnieńskim Świnka przybywa.

Wiadomość ta jedna może mogła na chwilę odciągnąć myśl Przemysława od tej trumny i od krwawych wspomnień strasznej nocy...

Wybór ani szczęśliwszy, ani pożądanwszy żaden nie mógł być dla księcia, ale razem mniej spodziewany.

W człowieku tym, którego rycerzem pamiętał, któż mógł odgadnąć przyszłą głowę kościoła polskiego?

Przemysław uradował się razem i zasmucił, gdy mu o tem znać dano. Potrzebaż było, aby ten mąż, na którego miłość i poszanowanie

chciał zasłużyć, przybywał właśnie w tej chwili, kiedy jego o zbrodnię głos ludu obwiniał!

W czasie ostatnich modlitw, gdy zwłoki, pokryte wiekiem, miano spuszczać do podziemia, książę postrzegł naprzeciw siebie w stallach tego, który po długim niewidzeniu zjawiał mu się w najcięższej życia godzinie.

Świnka oczyma badającemi, groźnemi nie-mała, smutnemi razem, patrzył na niego. Była w tem wejrzeniu i litość, i oburzenie, i wielka wyższość sędziego, który ponad winowajcą stoi.

Przemysław spuścić musiał wzrok; na pier-siach, jak kamień, ciążył mu ból niewysłowny.

Stał przed tym pasterzem, jak obwiniony, który się nigdy nie potrafi oczyścić. On sam mó-wił się niewinnym, czuł winowajcą.

Wszelkie usiłowania, czynione, aby sprawczy-nię mordu pochwyć, były bezskuteczne. Pogonie na trop jej wpadły, uszła tam, gdzie pewną bez-karności była: do margrabiów brandeburskich, na dwór któregoś z Ottonów, u których powinowatych miała. Tam dosięgnąć jej nie było spo-sobu.

Wieczorem po pogrzebie, który wspaniałością przeszedł wszystkie, jakie tu ludzie zapamiętali, na zamku dla duchowieństwa zastawioną była stypa, chleb żałobny, którego obyczaj u nas od czasów pogańskich się utrzymał.

Natłok był wielki, gdyż spodziewano się, że Przemysław choć na chwilę przy stołach się uka-że. Omylono się wszakże; książę wprost z ko-ściola przejściem bocznem, niepostrzeżony, udał się do komnat swoich, do których Świnkę i bi-skupa Jana prosić kazał.

Dni walki z samym sobą, jeśli go nie uspo-koily, to przynajmniej panem siebie uczyniły.

Posepna twarz mniej zdradzała zgryzoty su-mienia i niepokoju ducha. Męczarnię człowieka pokrywał dumą książęcą.

Ks. Teodoryk z podziwieniem patrzył na tę moc jego nad sobą.

Gdy Świnka wszedł, Przemysław wstał, wi-tając go z głębokiem poszanowaniem; badał go oczyma, lękając się znaleźć zbyt surowym. No-minat oblicze miał spokojne, ale sędziowskie.

Łatwo się było domyśleć, że głos publiczny doszedł już do niego.

Książę począł, wypowiadając radość wielką z mianowania arcypasterza:

— Tesknilem dawno za tem, abyśmy ojca duchownego mieli, alem się nie śmiał spodziewać tak szczęśliwego dla nas wyboru. Nie umiem wy-razić, jak mnie on w mojem strapieniu ciężkiem wielce rozradował i pocieszył. Witaj nam, pożą-dany Pasterzu nasz!

Biskup Jan, mąż poważny, niepospolitego umysłu, a żywego, mimo wieku, temperamentu — dodał, iż sam Bóg zsyłał im takiego wodza.

— Z nas, duchownych starych, tutecznych — rzekł — cośmy znani i stosunkami związani, ża-den tego, co wy, nie potrafi... Was nie nie osła-bia i nie krępuje. Bóg niech będzie błogosła-wiony!

— Ja mówię tu, com mówił, gdy mi to brze-mię kładziono — odezwał się Świnka. — Niech się stanie wola Twoja, Panie, gdy kielicha tego ode mnie odwrócić nie chcesz.

Kancelarz Wincenty wtrącił coś o swej po-dróży, biskup o chwili smutnej, w której przy-szły Pasterz przybywał, jakby panu niosąc po-trzebną pociechę.

Wszyscy, oprócz samego nominata, nalegać zaczęli, aby czasu nie tracąc, natychmiast przy-bywającego wyświęcić. Świnka się temu nie sprze-ciwiał.

Ks. Jan, biskup poznański oznajmił, iż To-masz Wrocławski, Gosław Płocki i Wolmir Lubu-ski, biskupi, byli już zawiadomieni przez wysła-

nych śpiesznych gońców, aby się natychmiast do Kalisza stawili.

— A ja wam tam też towarzyszyć będę — rzekł Przemysław — abym pierwszy powitał Głowę kościoła naszego i odebrał błogosławieństwo...

— A na gody — dodał wesoło ks. Jan — Gniezno się już pocieszyć będzie mogło, w murach swych witając Pasterza.

Świnka w czasie tych wynurzeń siedział wpatrzony w księcia, który wzroku jego wytrzymać nie mogąc, oczy odwracał. Rozmowa stała się powszechną, trwała dosyć długo, a gdy w końcu biskup Jan poruszył się do wyjścia, księżę Świnkę słowem zatrzymał jeszcze u siebie.

Zostali sami. Przemysław namyślał się długo, nim rozpoczął poufną rozmowę, której pożądał.

— Ojciec mój — odezwał się — nigdyście mi bardziej upragnionymi przybyć nie mogli, ale nigdy boleśniejby mi nie było stawać przed wami. Wiem to i czuję, że patrzycie na mnie, jak na obwinionego, grzechem ciężkim skalanego człowieka.

— Grzech jest spadkiem wszystkich ludzi po pierwszych rodzicach — odparł Świnka — ale po Chrystusie skrucę powinniśmy dziedziczyć.

— Grzech, jeśli jaki ciąży na mnie — dodał księżę żywo — nie tak wielki jest, jaki ludzie źli kładną na mnie... Wiecie pewnie, ojciec, oni mi przypisują...

Tu mu prawie zabrakło głosu i krew twarz oblała.

— Przypisują mi — rzekł — śmierć żony... Nie jestem jej winnym. Nie nakazywałem, nie pożałowałem jej nawet, choć mozem się mimowoli przyczynić do tego, co się stało... Tak, ojciec, przed tobą nie chcę mieć tajemnic: zmarła śmiercią gwałtowną, z rąk domowników; główna spraw-

czyni mordu uszła i ukarać jej nie mogłem. Winnym jestem i niewinnym.

Uderzył się w piersi.

— Chciałem się z tego wypowiadać przed wami...

Świnka słuchał zasmucony i milczący.

— Kajać się trzeba — rzekł — aby Boga przebłagać. Jeżeli choć cień grzechu czujecie na sobie, obmyjcie go.

— Jam gotów do pokuty, do ofiar! — zawołał księżę — bylebym przebłagał mściwą rękę Bożą. Ale jakże zetrzeć potrafię z siebie plamę w oczach ludzi? jak się oczyścić przed nimi?

Tu zatrzymał się chwilę i począł powoli:

— Wiecie, ojciec mój, żem po stryju Pobożnym wziął w spadku nie tylko ziemie jego, ale myśl, którą on przez cały żywot swój karmił. Chciałem Chrobrego koronie blask dawny przywrócić. Jakże ją włożyć na skroń, na której ludzie krew niewinną widzą?

Załamal ręce.

— Uspokój się, księżę — odparł Świnka. — Co kościół może dla uspokojenia was i pokrzepienia, to uczyni. Wielkie posłannictwo twoje... Obok niego wszystko małem. Lecz czystym być wam potrzeba... w sumieniu.

To mówiąc, powstał.

— Pokutujcie — dokończył — my się za was modlić będziemy.

Przemysław przystąpił doń i ze łzami ścisnąć go zaczął.

— Ojciec! — zawołał — ratuj mnie od samego siebie! W opiekę ci się oddaję... Nieszczęśliwy jestem nad słowo wszelkie.

Cichym szeptem skończyła się rozmowa, z której Świnka wyszedł poruszony, zadumany i smutny.

Wprędce następujące uroczyste wyświęcenie arcybiskupa, na które już następnego dnia do

Kalisza wybierać się było potrzeba, nie dało księciu w samotności dręczyć się myślami, które, gdy sam pozostał, trapiły go strasznie. Z wielkim i wspaniałym dworem towarzyszył Świnie do Kalisza, gdzie znaleźli już oczekujących na nich biskupów.

Nie wszyscy może oni, równie z ks. Janem Poznańskim, radzi byli wyborowi wodza nowego. Doszła już do nich wiadomość o nim, znano go z energii i rozumu. Miał to być wódz i głowa nie z imienia tylko, ale rzeczą samą, nie dająca się powodować nikomu. Z pewną obawą spoglądano na tę postać rycerską, poważną, która wrażała obawę, zdając się jakby z miedzi wykuta...

Gdy wyświęcony arcybiskup, któremu Przemysław ofiarował drogocenny pierścień, raz pierwszy od ołtarza stanął błogosławić ludowi zebranemu, w tym przeobrażonym łaską arcykapłanie ujrzeli wszyscy i poculi wodza, który potęgę swą znał i siłę.

— Ten—mówili cicho duchowni—nie ulęknie się nikogo.

Na zamku kaliskim, w którym Przemysław duchowieństwo przyjmował, kasztelanem był postawiony od niedawna Sędziwój, syn dawnego wojewody poznańskiego Jana, mąż, który na dworze Przemysława i z nim prawie zrósł razem, zdolny, śmiały, lecz opryskliwy i dumny.

Mimo tego stanowiska, jakie zajmował, mówili ludzie, iż upokorzonym się czuł, było mu go za mało i przeciw księciu niechęć żywił.

Sądził pewnie, iż po ojcu swym województwo poznańskie weźmie w spadku.

Przed przybyciem księcia i duchowieństwa na dni parę, Sędziwój, niebardzo rad zapowiedzianemu zjazdowi, przy którym on, co tu panował, podrzędne miał stanowisko — rozporządzał właśnie, gotując się na umieszczenie gości, gdy

od wrót postrzegł idącego ku sobie pieszo, dobrze znanego Zarebę.

Wiedział dobrze, co go spotkało, i że on jeździł po swoich, podburzając tajemnie powinowatych i Nałęczów przeciwko księciu.

Za młodu Zareba z Sędziwojem byli w zażyłości wielkiej. Oba charakterów podobnych, tem się tylko różnili może od siebie, iż Zareba nie krył się nigdy z tem, co myślał, i wybuchał otwarcie, a kasztelan skrytym był i umiał się za takiego podać, jakim mu być było potrzeba.

Z dawnych czasów wiedział to Zareba, iż Sędziwój ząb miał do księcia, choć płaszczył się przed nim do łaski. Temi pokłony i pochlebstwy doszedł do tego, że mu kaliski zamek zdano. Te go mu było za mało.

Wojewodą w Poznaniu i u boku księcia chciał być, aby nim zawładnąć... a to mu się nie powiedło.

Przy pozorze rubasznym, Sędziwój skryty i zręczny był, a całkiem się nigdy nie zwierzał nikomu.

Zdziwiło go, iż wywołany Zareba, jawny wróg księcia, śmiał mu się tu stawić w chwili, gdy właśnie gotował się na przyjęcie jego.

Nie na rękę mu to było—sądził wszakże, iż może ukorzony i żałujący porywczowości swej, chce przez niego prosić o przebaczenie.

Zareba śmiałym krokiem zbliżał się ku niemu, z dawną poufałością, dziś już niewłaściwą, bo jeden był teraz u góry, a drugi spadł nizko.

— Nie zaprzecie się mnie przecie, w niedoli mej — odezwał się przybywający.

— Dziwić się muszę — odparł Sędziwój — iż macie odwagę mnie, urzędnika z książęcego ramienia i sługę jego, do dawnej wyzywać przyjaźni. Głoszą cię wszyscy wrogiem naszego pana.

— I jestem nim—rzekł głośno Zareba.—Wy, panie kasztelanie — dodał, kładąc przycisk na ty-

tule — nie bądźcie zbyt dumni z łaski, jaką macie u pana! Co mnie spotkało wczoraj, wam się jutro może przygodzić. Potem i taki wywołaniec jak ja, zda się...

— Dość tego, w podwórzu — zamruczał Sędziwój. — Szczęście, że was tu nikt nie zna, chodźcie do izby za mną.

— A no! nie uwierzicie mnie przecie! — rozśmiał się śmiało Michno.

— Póki nie muszę, nie zrobię tego — rzekł kasztelan.

Szli do zabudowania oba, jakoś nie ochoczo.

Kasztelan na zamku zajmował izby przednie po ks. Bolesławie, ale właśnie z nich dla księcia i gości ustępować musiał. — Powiódł więc Zarębę do komory, w której nieład panował, bo do niej zrzucono ruchomości jego własne — nie mając ich czasu ustawić.

Spojrzawszy na Zarębę, który opalił się srodze, schudł i twarz miał pofałdowaną namiętnością, jaka w nim wrzała, Sędziwój uśmiechnął się litościwie.

— Cóż? — spytał — nie sprzykrzyło ci się jeszcze, jak lisowi przez psy gnanemu, wymykać? Chcesz przebłagać pana?

— Kto? ja? przebłagać? jego? — wybuchnął Zaręba. — Ja? Toś zgadł! Takci ty go kochasz i znasz jako i ja... choć niby on łaskaw na cię, a ty na niego. Starzyśmy towarzysze, nie kłammyż przed sobą, bo to na nic. Ja nie myślę kryć, co w głowie mam, a do ciebie nie przychodzę prosić o wstawiennictwo — ale cię buntować.

— Toś bardzo źle padł — odrzekł zimno kasztelan. — Jam nie dla was.

— A któż to wie? — poufale się rozsiadając, ciągnął Zaręba dalej. — Pogadajmy po staremu.

Sędziwój ciekawy być musiał, nie zamknął mu ust, czekał.

— Książę ciebie niebardzo lubi — mówił Michno — to wszystkim wiadoma rzecz i tobie. Dał ci zbywając się kasztelanę dla pamięci ojca twojego i żeś mu się nisko kłaniał. O województwie ci się śni — ale nadaremnie. Ty go nie dostaniesz. Zresztą, co tu wodę warzyć? Przemysław wasz na swem księstwie się nie osto. Ziemianie go wyżenią. Zbójcą jest żony własnej, wszetecznikiem, a tyranem chce być nad nami. Brandeburgi na niego zęby ostrzą, Ślązacy go nie cierpią i zabierają, co ma, Pomorza nie doczeka. Śni mu się korona — będzie ją miał w piekle u Lucypera!

— Milczże! — ponuro przerwał Sędziwój.

— Dla czego mam milczeć? — odparł Zaręba. — Słuchaj czy nie, ja mówić muszę. Gdybyś rozum miał, a mnie posłuchał, wyżej byś poszedł, niż jesteś.

Kasztelan przerwał znowu niecierpliwie:

— Bzdurstwa pleciesz!

— Sądź, jak chcesz! Ja jadę z Wrocławia od ks. Henryka. Kazano mi cię wymacać!

Przelekły i zdziwiony Sędziwój się rzucił.

— Milczże ty mi ze swoim księciem. Ja was obu znać nie chcę. Jeśli mi dłużej takie pleść będziesz niecnoty, kto ci ręczy, że chwycić nie każę?

Zaręba się rozśmiał.

— Nie każesz chwycić i nie wydasz! — zawołał. — Ja cię znam. U ciebie to we środku, co u mnie na wierzchu. Nie zmuszam cię do niczego, aleśmy towarzysze starzy, dobrze ci życzę. Trzeba się na dwie strony oglądać. Kto wie, co będzie?

— A tyś to się oglądał, gdyś w tę kaszę wlażł, w której siedzisz? — odparł Sędziwój.

— Okaże się to później — rzekł Zaręba — teraz mówmy, jak na starych towarzyszków przystało, choć ty jesteś kasztelanem, a ja włóczęgą.

Mówię ci naprawdę. Ks. Henryk wrocławski radby się z tobą bliżej poznał. Zjedź kiedy do niego... może się to wam na co przyda.

Sędziwój rzucił nań oczyma badającymi.

— Ależ — cicho! — szepnął zmieszany.

Zaręba dał mu znak oczyma.

— Słuchaj — dodał — księciu twojemu nie pomoże nic, musi on paść. Jutro, za rok, dwa, ja nie wiem, choćby się i królem ogłosił, nie minie go to. Gdy go ukoronują, czego mu się chce, temci prędzej padnie. Ziemianie wiedzą, co król znać. Teraz nimi pomiata, książęciem będąc, potem na karki wsiedzie.

Mówiąc to, Zaręba ciągle na Sędziwoja spoglądał, badając skutku swej mowy. Kasztelan nie pokazywał po sobie nic, prócz niepokoju i zniecierpliwienia.

Michno zmienił nieco mowę.

— Za długoletnie służby wasze nie możecie się wielkimi łaskami Przemysława pochwalić — rzekł — Bolesław Pobożny was za życia uczynił ochmistrem swego dworu, należało się wam już coś więcej, niż kasztelania kaliska.

— Należało mi się województwo — wyrwało się Sędziwojowi — nie komu, ino mnie. Stała mi się niesprawiedliwość!

— Przemysław wam nie sprzyja — dodał Zaręba — służba wasza idzie marnie.

Wtem przerwano im rozmowę. Zaręba, zbiegliwy a nieustraszony, choć się zbliżała chwila przyjazdu księcia, wieczorem znowu powrócił do Sędziwoja.

— Cóż? wy tu jeszcze? — zapytał go kasztelan. — Toć to szaleństwo! Gdyby kto ze dworu księcia nadjechał, a zobaczył was?

— Tego mi właśnie potrzeba — rzekł Zaręba obojętnie. — Mam tam dużo przyjaciół, których bym rad widział.

Sędziwój był nastraszony tem zuchwalstwem.

— Natkniesz się na kogo, co cię może wydać i kazać ująć! — zawołał. — Idź stąd na skrócenie karku, ja cię tu widzieć nie chcę. — Idź!

— Bądźcie o sobie spokojni — odezwał się Zaręba. — Nie możecie przecież przy takim zjeździe wiedzieć o każdym, co się tu płata. Ja się nie boję i zostanę. Nie taję się z tem, że będę przeciwko księciu podburzał, ale to moja sprawa, wy za to nie odpowiadacie.

Śmiało mu patrzył w oczy.

— Prędzej, później i wy się do nas przyłączycie — dokończył. — Krzywdy wyrządzonej zapomnieć trudno, a ja wam ręczę, że ks. Henryk ją wynagrodzi.

Jak się stało, że Zaręba w izdebce ciasnej na zamku pozostał na noc i w czasie zjazdu przebywał w Kaliszu, o czem kasztelan wiedział — wytłómaczyć trudno.

Gdy wieczorem, po uroczystości wyprawiono ucztę na zamku, a na ludzi mniej zwracano uwagi, bo wielu nieznanym z biskupami napłynęło, Zaręba w ciemnych przejściach czatował na podpitych dworzan Przemysława, między którymi miał przyjaciół wielu.

Do ich liczby należał młody Ząb, syn łowczego gnieźnieńskiego, dawny drużyna Nałęcz i Michny, który, zobaczywszy tu Zarębę, przeląkł się wielce.

— Jakżeś ty się tu śmiało wcisnąć? — zawołał — pozna cię kto i wskaże, to zginiesz.

— Nie boję się — rzekł Michno, odwodząc go na stronę. — Widzisz, że śmiało chodzę, niech cię to nauczy, że ja tu swoich mieć muszę i siebie jestem pewny. Wasz książę otoczony jest takimi jak ja, co mu życzą właśnie, jako ja i Nałęcz...

Ząb, nie dając się uspokoić, drżał i wyrывał się, a Zaręba śmiał się.

— Tchórz jesteś — mówił — połowa ludzi

teraz napiłych, druga zajęta tem, żeby się upiła, nikt na mnie zważać nie ma czasu. Ja ciebie nawracać nie myślę, ale chciałbym się czegoś dowiedzieć.

I trzymając Zęba za pas, badał go nieustraszony Michno:

— Mów mi, co Przemko robił po śmierci księżnej, gdy rozkaz jego spełniono? Patrzaliście nań.

— Rozkazu nie dawał — odparł Ząb — nieprawda! Rozpaczal, gdy się to stało. Mina przed pomstą jego natychmiast uchodzić musiała, o mało jej nie zabił.

Zaręba śmiał się szydersko.

— A! tak! tak! — dodał. — Powiesz mi, że i pogrzeb kazał sprawić okazały i sam na nim był! To ja wiem przecie, bo, choć wy mnie nie widzieliście — patrzałem sam na to, krok w krok za nim chodzę.

— Aż póki ułapiwszy cię, stracić nie dadzą — dokończył Ząb.

— Kto kogo da stracić, to jeszcze niewiadomo — odezwał się Michno obojętnie. Ja cię pytam o co innego: jak do zabójstwa przyszło? Kto mu radził? Kto pomagał?

— Nie wiem nie!...

— Tchórz jesteś albo zły człek — począł gwałtownie Zaręba, nie puszczając go, choć się wyrwał. Po zabójstwie kto przy nim był?

— Widziałem tylko ks. Teodoryka.

— Wiernego służkę i pochlebcę — dorzucił Zaręba. — Ten też pewnie zawczasu wiedział o wszystkim!

Ząb, na którego mimo zimna poty były ze strachu, wyrwał się wreszcie z rąk przyjaciela. Drudzy też, których po kątach łapał, nie mieli wielkiej ochoty z nim rozmawiać. Błądził tak przez wieczór cały, a w ostatku kilku podbitych ściągawszy, wyszedł z nimi do miasta. Z tymi

starał się bliższe zawiązać stosunki, co mu się w części udało, ale nazajutrz z ust do ust chodzila po cichu wieść o zuchwałym chłopie, którego kilku widziało.

Zrana ks. Teodoryk wszedł do księcia, dając mu znak, że chce z nim mówić na osobności.

Od śmierci żony książę obawiał się o siebie i miał na ostrożności, lektor też lękał się zemsty, o której głuche chodziły wieści, że ją gotowali jacyś Lukierdy powinowaci czy przyjaciele.

Z pewnemi zastrzeżeniami ks. Teodoryk uwiadomił Przemysława, iż wypadkiem wpadł na poszlak o przechowywaniu się Zaręby na zamku, i o porozumieniu jego z kasztelanem Sędziwojem.

Przemysław zrazu zaprzeczał temu, wierzyć nie chciał — potem namyśliwszy się, dowódcy straży, którą z sobą przywiódł z Poznania, kazał strzedz wrót i nie oddalać się od zamku.

Sędziwój, którego to uderzyło, bo stało się nagle i z wyłączeniem załogi, pobiegł niespokojny do księcia, którego znalazł nachmurzonym i gniewnym.

Zwrócił się do kasztelana żywo Przemysław, zaledwie zobaczywszy go u progu.

— Wiem o tem — rzekł do niego — że ten niepocziwiec, który dawno na śmierć zasłużył, Michno Zaręba, był wczoraj na zamku. Okazywał się jawnie, uragając mojemu gniewowi — a wy, nie widzieliście o tem?

— Nie wiem — odparł kasztelan błędniejąc. — Na zamku wczoraj były tłumy, nie mogłem widzieć wszystkich. Weisnął się może zuchwalec.

— Szukać go każcie, chwytac — dodał książę. — Głową mi swą odpowiadacie za bezpieczeństwo! Zaręba nie był tu pewnie bez złej myśli... To druh wasz dawny!

Kasztelan zachnął się.

— Nieprzyjaciół pana mojego — zawołał —

przyjacielem moim być nie może. Wasza Miłość krzywdę mi czynicie! Posądzacie mnie.

Przemysław nie mógł się pohamować w gniewie...

— Kasztelanie — rzekł — nie posądzam was, ale wiem, że żal macie do mnie; niewiele polegam na was!

— Nie miałem nigdy ani wiary, ani łaski u Miłości Waszej — wybuchnął Sędziwój — ja też to wiem zdawna. Za me usługi wierne coś mi się więcej należało niż zamek kaliski!

— Jeśli on wam nie miły — zawołał książe — mówcie, dam go innemu. Możecie gdzieindziej szukać szczęścia! Dziś nie pora o tem — dolożył — dopóki kasztelanem jesteście, idźcie i każcie tropić tego lotra.

Sędziwój chciał coś mówić jeszcze, ale książe na drzwi palcem mu wskazał.

Kasztelan musiał to znieść, że jakby mu nie ufano, ludzie przyboczni księcia, strzegli w oczach jego zamek cały, wszystkie komórki i wyżki. Trwało to godzin kilka, w ciągu których pilno wrót strzeżono.

W trwodze wielkiej przebył je Sędziwój, lękając się, aby Zarebą nie pochwycono, lecz ani tu, ani w mieście go nie znaleziono.

Dopiero, gdy poszukiwania bezskutecznymi się okazały, Kasztelan skarżąc się głośno i wyrzekając, poszedł do księcia.

Przemysław nie dał ich sobie czynić, zbył go pańsko i surowo.

— Radzę wam, kasztelanie — rzekł odprawując go — nie mnie obwiniać, ale siebie. Strzeżcie się na przyszłość, bym was posądzając i żalu do was mieć nie znalazł powodu.

Sędziwój, dotknięty mocno, wyszedł po tej odprawie z pragnieniem zemsty w sercu.

Arcybiskup dnia tego wyruszył z Kalisza do Gniezna; Przemysław mu towarzyszył, biskupi

też jechali z nimi lub do stolic swoich, tak, że zamek opustoszał znowu.

Nad wieczór Sędziwój, który się burzył ciągle, poszedł sam na miasto szukać Zareby. Miał już postanowienie porozumienia się z nim i książętami śląskimi. Przeczował, że i on go szukać będzie. Na pół drogi go spotkali.

— Narobiłeś mi zła — krzyknął, zoczywszy go, Sędziwój rozjątrzony — bodajesz sam go doznał!

Uśmiechnął się Michno.

— Co wam się złem wydaje, na dobre wyjdzie — rzekł. — Lepiej dla was, gdyście się przekonali, czego się macie po księciu spodziewać. Łaski jego nie odzyskacie, wiary w was nie ma. Jedźmy do Wrocławia, tam was przyjmą ramionami otwartymi. Nie będę tail dłużej, mam polecenie tam was ściągnąć.

Krótko się kasztelan namyślał.

— We Wrocławiu i tak być miałem — odparł udając obojętność. — Niema w tem grzechu księciu się pokłonić. Ale co z tego!

— Czyż ja wam potrzebuję tłumaczyć? — szepnął Zareba. — Wiecie, że książe Wrocławski z Brandeburczykiem trzyma, bo ma córkę Ottona drugiego za sobą. Brandeburgi na Pomorze cychają, a on całej Polski chce i będzie ją mieć. Jedźcie! czym prędzej, tem lepiej!

— Przemysław paść musi i zginąć — dodał — a nie z czyjej ręki, jak z mojej.

Kasztelan, widząc ludzi nadchodzących, nakazał mu milczenie, lecz zaprowadziwszy go o zmroku do komory, długo się z nim naradzał. Zareba szybko potem nazad do miasta powrócił, konie kazał siodłać i zniknął.

W kilka dni potem kasztelana w Kaliszu nie było, mówiono, że wyjechał do majątności swych i dość długo oczekiwano nań w zamku. Kedy się zabawiał, nie wiedział nikt. Donoszono

do Poznania o tem, iż Sędziwój mało nad bezpieczeństwem grodu powierzonego mu czuwał — ale nie nie zdawało się zagrażać.

V.

Na zamku wrocławskim od zgonu Henryka Brodatego nie mało się razy panowie i dwory zmieniały. Coraz inaczej wyglądało to siedlisko główne Piastów śląskich, które, choć od niego dzielnie wiele oderwano, zawsze się za ich stolicę uważało. Dobijali się oń z kolei potomkowie świętej Jadwigi rozrodzeni, a w tych rozterkach książęcych miasto samo i ludność jego coraz większego nabywały znaczenia.

Wnuk zabitego pod Lignicą, Henryk, teraz tu panujący, wielkiego i niespokojnego był ducha. Pragnął szerokich posiadłości, a choć mu się zagarnąć je nie udawało, nawet w walce z nie-szczęśliwym Rogatką, nie dawał się zrazić i odstręczyć niczem.

Zaledwie sam z więzienia uwolniony, kusił się o chwytanie drugich; przegrawszy bitwę jedną, myślał już o tej, którą miał ją powetować.

Był to mąż naówczas w sile wieku, jak wszyscy ślężcy Piastowicze, zbudowany krzepko, życiem rycerskiem wzmocniony, wytrzymały, zacięty. Pełen ambicji, marzyciel, potrosze poeta, składający miłosne piosnki niemieckie, nie już w sobie polskiego nie miał, a stosunkami pokrewieństwa i ducha sięgał poza granice Polski, do Brandeburgów, do Czech, do Cesarstwa.

Cały też dwór jego, oprócz malkontentów z Polski, którzy zbiegali doń, ofiarując mu usługi swoje, składał się przeważnie z Niemców, Sasów, szwabów i różnego plemienia przybłędów.

Strój, język, zabawy, podobnym go zupeł-

nie czyniły do dworów innych niemieckich książąt, którym książę Henryk starał się być podobnym.

Zona jego, córka Ottona Brandeburskiego, wniosła tu z sobą niechęć do wszystkiego, co polskiem było.

Spiskowano jawnie prawie przeciwko tym wszystkim książętom, którzy do Krakowa i Sandomierza, Poznania i Kalisza prawa mieli.

Przemysław, tak samo jak inni, stał na zawadzie ks. Henrykowi. Nie było z nim jawnego rozbratu, lecz knowano potajemnie, jak się to naówczas wieść było zwykło. Upatrywano sposobności, aby mu dzielnicę uszczuplić, albo z niej wyrzucić zupełnie.

Na rękę więc było księciu Henrykowi, gdy mu dnia jednego ochmistrz dworu jego, Werner, dał znać, iż z Polski przybyły ziemianin jakiś, poważny człek, o posłuchanie go prosił.

Był to Zaręba, który na dworze Przemysława, między Niemcami, języka ich się trochę przyuczył.

Dla tej zemsty, której pragnął, gotów był zaraz na wszystko. To, co tu widział, mogło Zarębę dać wielkie wyobrażenie o możliwości pana, pod którego opiekę chciał się uciec.

Henryk równie wspaniale zwykł był występować, jak Przemysław. Dwór jego cudzoziemski był świetny i liczny, on sam pamiętał o tem, że był wielkiego rodu. Zamek wrocławski, co się nigdy wziąć nie dawał, choć nieraz dokoła palono przedmieścia i miasto, urósł znacznie, mocnym był i okazałym.

Dawne budowy, po większej części drewniane, ustąpiły murowanym. Ściany obwodowe wzmocniono basztami krągłemi; w pośrodku sale sklepione i ganki kryte pełne były zawsze dworu liczego i występującego z przepychem.

Dawnego języka krajowego nikt tu teraz nie

posłyszał: duchowieństwo, otaczające księcia, niezbyt liczne, rycerstwo, niewiasty księżnej—wszystko niemieckie było.

Wieczorami najulubieńszą zabawą księcia było słuchanie pieśni miłosnych i popisy z temi, które sam układał.

Świat otaczający, pół polski jeszcze miano za barbarzyński i dziki.

Cheiwość władzy u księcia Henryka łączyła się z niepomierną żądzą zwiększenia bogactw, które mu do niej drogę usłać miały.

Nie przebierając w środkach, gdy chciał skarbiec zasilić, książę, tak jak Rogatka, rzucał się na kogo mógł, szczególnie na duchowieństwo, które z dóbr wielkich nic nie opłacając, ciągnęło dochody znaczne i miało sławę zamożności. Przywłaszczaniem sobie dóbr, dziesięcin, nakładaniem przymusowych danin na biskupów i kapituły Henryk przyczynił sobie nieprzyjaciół w całym duchowieństwie. Sarkano, opierano się, skarżono do Rzymu, lecz niewiele to pomagało.

Z biskupem Tomaszem wrocławskim rozpoczęła się już wojna otwarta. Na zamku więc rzadko się spotykało duchownych, a ci, co tu gościli, z biskupem i klasztorami zerwać musieli.

Zaręba, którego na zamek chętnie wpuszczono, oczekując na posłuchanie u księcia, miał czas się przekonać, że tu już śladu nie było dawnych obyczajów, które się w Poznaniu jeszcze zachowały.

Książę, który doń wyszedł po domowemu, ale wytwornie odziany, w jedwabnych sukniach, obszytych futrem kosztownem, majestatyczniej-szym mu się wydał nad Przemysława.

Na ukłon odpowiedział zaledwie patrząc na przybyłego z rodzajem szyderskiego politowania. Zapytał go naprzód, kto był. Zaręba począł od opowiadania pobytu swego na dworze Przemysława, pożyciu jego z żoną, śmierci jej i oburze-

niu, jakie ona przeciwko niemu wywołała. Wspominał o krzywdzie, jaka mu się stała, a zakończył tem, że usługi swe przeciw Przemysławowi gotów był księciu ofiarować.

— Nie wiesz przecie — odparł dumnie ks. Henryk — czym ja z nim, czy przeciw niemu?

— Wasza Miłość nie możecie być z nim — odparł Zaręba — na to wielkiego rozumu nie trzeba, aby się domysleć. Z prawa starszeństwa należy wam dziedzictwo tych ziem, które on trzyma; dla czegożbyście go nie mieli osiągnąć? Przemysławowi niechętni są ziemianie, podać im tylko rękę potrzeba.

Ślżak słuchał trochę niedowierzająco, siadł, podparł się, wyciągnął, dając mówić przybyłemu. Nie okazywał ani wstrętu do tego, co mu mówił, ani zbytniego zajęcia. Człowiek zdrajca—budził w nim niechęć widoczną.

Zaręba rozgadał się szeroko o swych powinowatych, o ziemianach, jedno z nim mających przekonanie — a nakoniec rzekł, kusząc ks. Henryka:

— Wasza Miłość możecie łatwo dostać zamek kaliski, byleś rękę wyciągnął. Znam Sędziwoja, który tam kasztelanem jest, iż z nim się ułożyć będzie można.

Posłyszawszy to, Henryk okazał żywsze nieco zajęcie. Rozpytywać zaczął o Sędziwoja — odprawił Zarębę, przywołać go kazał raz drugi, i Michno wyruszył na ową do Kalisza wyprawę.

Wrócił z niej z najlepszymi nadziejami, a wkrótce potem i przyobiecany Sędziwój we Wrocławiu się zjawiał.

Sam książę potajemnie wiódł z nim układy.

Przygotowania do opanowania grodu potrwały kilka miesięcy.

W końcu września następnego roku Przemysław znajdował się na zamku swym w Poznaniu.

Żył teraz dosyć odosobniony od śmierci Lukierdy, posepny, a ks. Teodoryk, który go zabawił, czytał mu, rozrywał, coraz był w większych laskach.

Na zamku wiele się zmienilo.

Książę usiłował wspomnień dojmujących zatrzeć ślady. Izby, w których zbrodnia dokonana została, przerobiono zupełnie, oddano je na pomieszczenie dworu, a inne wspanialsze, odnowione gotowano dla przyszłej żony księcia, o której już naówczas mówiono, iż książę powinien się o nią być starać.

Młody, w sile wieku, aby nie zniść bezpotomnie, musiał szukać towarzyszek. Świnka, lekając się, aby do swawoli nie wrócił, nalegał. I on i ks. Teodoryk ciągle to księciu przypominali.

Przemysław ociągał się z jakąś zabobonną obawą.

Wieść o gwałtownej śmierci Lukierdy tak była rozpowszechniona, iż wielu odstręczała od niego. Po różnych dworach próbowano starać się o księżniczki, których odmawiano. W ciągu krótkiego czasu krwawa przygoda urosła w legendę, zmieniła się w pieśń, którą publicznie po kraju śpiewano. Weszło to było w wiarę powszechną, iż książę mord żony nakazał.

W pieśni żalosnej, którą nuciły niewiasty, Lukierda prosiła męża, aby jej życie darował, by jej powrócić do swoich, choć w jednym gźle, bo so pozwoił. Okrutny Przemysław skazywał ją na śmierć, a śpiew, lży wyciskając, wzmagal niechęć przeciwko niemu.

Powtarzania tych pieśni niepodobna było zakazać. Nucili ją po gospodach publicznych gęślarze, niewiasty uczyły się i roznosiły. Wprędce rozpowszechniła się tak, że z tęskną jej nutą nieraz dwór książęcy w podróżach się spotykał.

Chociaż na zamku komnaty, w których Lu-

kierda życie skończyła, przebudowane były i przez dwór zajęte — powiadano, że nocami ukazywał się tam cień zabitej w białej sukni, z włosami rozpuszczonemi, z głową na piersi zwieszoną, zalanymi rękami, błądzący po izbach i podwórzu między zamkiem a kościołem.

Sam książę słyszał o tem i strach go ogarniał taki, iż w nocy wychylić się sam wahał z komnaty. Duchowni doradzali pobożne dary i fundacye; jakoż w miesiącu grudniu, zaraz po zgonie Lukierdy, Przemysław założył i wyposażył wsiami bogato klasztor dominikanek.

Nie uspokoiło go to jednak. W sumieniu swem cierpiał. Ks. Teodoryk, jako ostatnie lekarstwo, ożenienie zalecał.

Wzięto się do przerabiania na zamku, a sługi, które do morderstwa należały, precz wysłano.

Bertocha, dręczona zgryzotami, wkrótce zapła się i zmarła.

W poszukiwaniach nadaremnych żony dla księcia sięgnąć musiano aż do dalekiej Szwecyi po córkę Waldemara króla, który w wojnie był z braćmi, spowodowanej rozpustą i swawolą. Mszczono się na nim za uwiedzioną siostrę żony.

Księżniczka Ryksa, córka Waldemara, łatwą była do pozyskania, bo nie miała wyposażenia, a ojciec, zagrożony straceniem z tronu, nie miał już nawet stałej stolicy i po kraju się błąkał.

Mówiono więc o poselstwie do Szwecyi, a Przemysław, choć uległ Świnie i godził się na to, zwłóczył je i odkładał przez jakąś dziwną obawę.

Smutne było życie na tym zamku, nad którym jeszcze cień nieszczęśliwej pani ulatywać się zdawał — książę stąd często się wyrывał do Gniezna, w towarzystwie arcybiskupa jedną znajdując pociechę. Łowy go nie bawiły, turnieje na zamku zaniedbane zostały.

Jednego z chmurnych i smętnych wieczorów

wrześniowych, o niezwyklej godzinie, gdy książę sam z ks. Teodorykiem w komorze swej odpoczywał, zjawił się Tomisław, dopraszając posłuchania.

Żądanie to w porze spóźnionej zaniepokoiło Przemysława.

Wpuszczony wojewoda był blady i poruszony.

— Ze złą wieścią przybywam — odezwał się, nie osłaniając i nie szczędząc księcia. — Sędziwój nas zdradził, zamek kaliski zdał księciu Henrykowi Wrocławskiemu.

Książę stał chwilę jak przybity.

— Sędziwój! Henryk! — począł niewyraźnie. — Skąd wieść?

— Miasto się nie dało opanować — obroniono je pono — dodał Tomisław. — Są ludzie, co stamtąd zbiegli.

Spojrzał na pana, który się nie odzywał, okazując tylko wzruszenie wielkie. Nagle Przemysław podniósł głowę i zawołał głosem silnym:

— Ludzi zwołać! Idziemy na Kalisz wszystkimi siłami! Ja sam poprowadzę.

Zabrakło mu tchu na chwilę.

— Ani godziny nie traćcie — dorzucił prędko — natychmiast gońców śłać na wszystkie strony. Idziemy jutro... poszedłbym dziś, gdyby można.

Tomisław potwierdził potrzebę prędkiego działania. Wydawać zaczęto rozkazy natychmiast.

Książę budził w sobie otuchę, ale i w nim i w województwie nie było wielkiej nadziei odzyskania Kalisza.

Drugiego dnia już dowiedziano się, że zamek był silną opatrzony załogą i do oblężenia spodziewanego przygotowany. Klęska tę miała tylko dobrą stronę, że Przemysława z odrętwienia wywiodła, zmusiła do wojny, do zapomnienia, co mu na sercu leżało.

Gdy w kilka dni potem ściągnięte siły pod wodzą Tomisława i samego księcia na Kalisz szły, w twarży Przemysława widać było gorączkowe walki pragnienie i zapal rycerski. Naglił, wydawał rozkazy, sam wszystkiem się chciał zajmować.

Wojsko, zebrane naprędce, choć się z najprzedniejszego rycerstwa składało, liczbą szczupłe było. Książę wołał, że gotów własne dać życie, aby stratę, którą sobie przypisywał — odzyskać.

Nim dociągnęli do Kalisza, Henryk miał czas w nim obwarować się dość silnie, okopać i ludźmi napęlić. Samo położenie wśród nizin błotnistych utrudniało obleganie i zdobycie.

Przemysław opasał naprzód twierdzę dokoła; zdało się, iż jeśli nie siłą, to głodem wziąć ją musi, gdyż Ślązacy nie mieli wyjścia nigdzie, a odsieczy rychłej nie mogli się spodziewać.

Lecz zaledwie namioty rozbito, a Tomisław czas miał się rozpatrzyć i rozsluchać — przybył do księcia smutny, prorokując, że leżeć przyjdzie długo, bo zamek był najlepszym rycerstwem śląkiem silnie bardzo osadzony.

— Czekać! stać! oblegać nie myślę — przerwał mu książę. — Słijcie do zamku z zapowiedzią, że jeśli mi się do trzech dni nie poddadzą, szturmem wezmę ich i nikogo nie puszcę z życiem.

Wojewoda próbował ulagodzić księcia, nie dopuścił mówić.

— Trzeciego dnia szturm przypuszczę, bo dajbym sam w nim miał zginąć! — powtórzył.

Wojewoda musiał wyjść posłuszny jego woli.

Wysłanych pod mury z wezwaniem niemcy przyjęli śmiechami. Uragali się wołając:

— Chodźcie — weźcie!

Książę ledwie trzeciego dnia mógł cierpli-

wie czekać i mimo przedstawień wojewody, kazał na ranek gotować się do szturm.

Wszystkim on, oprócz niego, wydawał się nadaremny, lecz księżę mówić o tem nie dawał i jak szalony sam pędził do boju.

Jak dzień rycerstwo, które się w końcu zapalem jego przejęło, posunęło się pod zamek.

Tomisław i starszyzna największą trudność mieli Przemyśława uratować od niebezpieczeństwa, na jakie się ślepo narażał. Rzucił się w najbardziej zagrożone miejsca, na strzały i pociski, na stosy trupów, które wkrótce całe zalegały pod wale.

Niemcy, widząc, że nie ujdą z życiem, bronili się rozpaczliwie. Dzień cały bez przerwy ponawiano napady daremne: Tomisław błagał, księżę go nie słuchał.

Co było najprzedniejszego rycerstwa, padło w tej walce nierównej z kłodami i kamieniami, nie z ludźmi. Przemyśław w potłuczonej zbroi, ranny, rozpaczający, już nocą prawie ledwie się dał odciągnąć od murów. Niemal gwałtem porwano go stamtąd, oznajmując mu, iż arcybiskup z Gniezna przybył i w namiocie nań czekał, powołując go do siebie.

Był to jedyny człowiek, którego głosu mógł księżę w tym stanie ducha usłuchać. Poległych rycerzy trupy, odparte szturmy, upokorzenie odejmowały mu przytomność. Na pół umarły od tego bólu, dał się wieść bezsilny i nieszczęśliwy.

W namiocie oczekiwał nań Świnka.

— Ojcie! — zawołał, ujrawszy go, księżę. — Pomsta Boża nade mną! Kaliski zamek, stryja mojego stolica, którą otrzymałem w spuściznie, w rękach obcych! Kalisz! rycerstwo moje najlepsze leży trupem, a ja nie umarłem!

Arcybiskup przeżegnał go.

— Bóg tak chciał — rzekł spokojnie — kara to,

próba, czy napomnienie, nie wiem, ale wyrok, któremu się poddać potrzeba.

— Nie odstąpię stąd, raczej zginę! — począł Przemyśław.

Biskup rękę mu położył na ramieniu.

— Pokój z tobą! — rzekł — pokój z tobą! Ja ci przynoszę go... Henryk do mnie przysłał, Kalisz ci powróci za kawałek ziemi mniej cenny, a jemu przyległy.

— Nigdy! — odparł księżę.

Arcybiskup napróżno go skłonić usiłował, księżę nazajutrz nakazał szturm nowy.

— Nie mam z kim go ponowić — odezwał się przywołany wojewoda.

Wymówki tej Przemyśław słuchać nie chciał, trwał przy swoim, burzył się i szalał. Arcybiskup nie odstępował go, usiłując powolnie przywieść do upamiętania.

Przypomniawszy mu, że Bóg, przeznaczając go do podźwignięcia korony Chrobrego, przez ciężkie próby i trudy wiedzie do tego celu. Nakłaniał, aby chciwemu Henrykowi dał ziemi kawałek dla odzyskania Kalisza i spokoju.

Przemyśław, nie ufając już przyszłości, liczył wszystkie nędze i zawody życia swego.

— Całe moje życie — mówił — zmarnowało się w łamaniu z losem... Nie ufam już w przyszłość lepszą. Od młodości ciągiem jednym klęsk i zawodów była dola moja. Policzcie więzienia, zdrady, domowe męki, błędy moje, zbrodnie, które na mnie włożono! Nie jestem godzien korony, a życie mi obmierzło!

Trzeba go było jak dziecię pocieszać; Świnka używał wszelkich środków.

— Mój księżę — rzekł mu — i jam się nie czuł nigdy godnym tego arcykapłańskiego dostojęstwa, które Pan Bóg włożył na mnie. Uspokój się, a zachowaj dla przyszłości; Henryk ci Kalisz powróci, posłańcy jego i peł-

nomocnicy czekają, a ja będę pośrednikiem.

Przemysław odpowiadał jednym, że chce iść, walczyć i ginać.

Ledwie po długich usiłowaniach udało się areybiskupowi zmięczyć Przemysława, który w końcu wszystko zdał na niego.

Świnka pochlebiał sobie, iż powagą swą skłoni Ślązaków do łagodniejszych warunków, wystawując im, jak niegodziwą zdradą opanowali gród, do którego żadnego prawa nie mieli.

Ślascy pełnomocnicy, wezwani do obozu, przybyli dumni i zuchwali, jak zwycięzcy, wcale nie skłonni do ustępstw. Arcybiskupia powaga ludziom, którzy swego pana codzień z władzą duchowną widzieli w zatargach, nie czyniła na nich wrażenia.

Werner, ulubieniec księcia, z góry oświadczył, że innych nie przyjmie warunków, tylko ustępstwo Ołoboku z przyległym powiatem. Narzucił nadto Przemysławowi obowiązek wystawienia tam twierdzy, którą gotową oddać miał Henrykowi.

Arcybiskup próżno się starał o zniesienie przynajmniej ostatniego warunku.

— Wystawcie sobie twierdzę sami — rzekł — uczynicie ją, jaką chcecie.

— Na to my ani czasu, ani kosztu tracić nie chcemy — odparł Werner. — W Kaliszu mamy zamczysko dobre, warowne, nie zamienim go tylko na inne, które będzie tego warte.

— W Kaliszu się nie ostoicie! — mówił Świnka.

— Któż to wie? — odparł Ślązak. — Ślązaków jest nas sporo, znajdziemy pomoc w teściu naszym Ottonie. Wy jej nie możecie mieć nikąd. Zdobędziemy miasto, zawojujemy ziemie okoliczne.

— Jakiemże prawem? skąd powód do napaszczy i wojny? — pytał Świnka.

— Wojna prawa nie pyta — rzekł niemiec, uderzając po mieczu dłonią — to prawo nasze!

Zostawiwszy ich w swym namiocie, gdzie, jako Niemców, słynących z tego, że pili dobrze, kazał hojnie przyjmować areybiskup, sam poszedł do Przemysława. Z tym szło równie trudno, jak ze Ślązakami, bo o Ołoboku i zamku słuchać nie chciał.

Niemcy się przy swoim trzymali i już mieli odjeżdżać z nieczem, gdy Tomisław z rannymi rycerzami, ocalonymi po wczorajszej walce, wszedł do namiotu księcia.

Rycerstwo ofiarowało panu swemu przysięgę, że Ołobok odzyszcze, aby go poświęcił bez trwogi.

Tomisław, brat jego, starszyzna wszystka, całując krzyże swych mieczów, składali uroczyste zobowiązanie się, choćby twierdza najsilniejszą była, że ją wraz z powiatem odbiorą.

Nalegania, prośby, przysięgi na koniec księcia złamały. Świnka powstrzymał posłów — i notaryusz siadł zaraz spisywać umowę.

Ślązak, gdy do końca ją doprowadził, niezmiernie był rad i nie umiał ukryć tego, bo pomimo przechwałek załodze w Kaliszu trudno się było utrzymać, a mieli tu najdzielniejszych swych rycerzy, których na zgubę narażać nie chcieli.

Gdy umowa spisana została, areybiskup rzekł do Wernera:

— Powiedźcie panu waszemu odemnie, iż złe nabyte mienie szczęścia nie przynosi; dodajcie i to, że ja, głowa kościoła ziemi tej, słę mu przestrożę, aby prawa jego lepiej szanował, gdyż ja nie poszanuję też książęcej dostojności.

Ślązak przyjął to z lekceważeniem.

— Przemawiacie za sprawą biskupa Tomasz — odezwał się. — Juści duchowny jeden za drugim ujmować się musi, ale ja tego panu memu nie odniosę. Wy wszyscy, panowie duchowni,

trzymacie w skarbcach waszych więcej, niż wam potrzeba grosza, którego nam braknie. Ślecie go do Rzymu, a my darmo musimy w obronie waszej wojować. Pan nasz bezbożnikiem nie jest, ale gdy mu złota na wojnę potrzeba, i do skarbcza kościelnego sięgnie.

— A kościół go wyklnie, jak łupieżcę! — zakończył gwałtownie arcybiskup.

Werner i tem się nie dał poruszyć.

— Już to czasy te przeszły — rzekł — gdy ludzie od klątwy waszej umierali i gdy się jej lekano. Znajdziemy sobie księży, co nam mszę będą odprawiać, mimo interdyktu.

Arcybiskup zbladł, słysząc te zuchwałe słowa.

— Nie wyzywajcie mnie! — dodał groźnie — abym wam nie okazał, że anathema z tronu obalić może!

Tak się skończyła ta rozmowa, i posłowie odjechali, księcia nie widząc, który chory w namiocie leżał.

Po owym szturmie nieszczęśliwym reszta niedobitków musiała też w mieście i po namiotach spoczywać i goić rany, bo ani jeden z walczących nie wyszedł bez nich, a wielu potłuczonych i pokłutych umierało.

Przemysław nie chciał odciągnąć z pod zamku, dopóki by on mu nie był zwrócony. Chciał być świadkiem, gdy wyciągnie załoga i zająć gród na siebie.

Dowódzca szwab, gdy odebrał rozkaz wyjścia z zamku, świetnie przybrał swe rycerstwo, chorągwie z orły czarnemi rozpuścić kazał szeroko, na czele postawić kazał trębaczów i kotły, i tak z tryumfem a urąganiem wyszedł krokiem powolnym, przeciągając około obozu polskiego, którego żołnierze po namiotach się pozamykali.

Zamek, gdy z niego ostatni ciura i wóz ostatni wywłókł się za wrota, zostawując je otworem, przedstawiał obraz spustoszonego jakby

przez Tatarów grodu, w którym nie pozostało nic, cokolwiek zabranem lub zniszczonem być mogło.

Resztkę zasobów po księciu Bolesławie, zapasy oręża, szat, żywności, sprzęt nawet, Ślązaki uwieźli z sobą lub porozbijali i popalili.

Brakło tylko tego, by wychodząc, ogień podłożyli pod ściany.

Drzwi z zawias powyrywane, połamane okiennice, powybijane błony, pobrukane umyślnie ściany, porabane i poopalane słupy, szczątki naczyń potłuczonych, kupy gnoju po komorach — świadczyły o złości ludzi, którzy tu czas krótki przebyli.

Nie oszczędzono ani kaplicy zamkowej, w której ołtarz został nagi, bo z niej nawet krzyż, srebrnemi blaszkami obity, na wozy zabrano, ani zakrystyi, z której szaty i bieliznę wzięto, a skrzynie porabano w kawały.

Kilka koni zdechłych ze zdętymi brzuchami leżało w dziedzińcu, z mięsem przez psy powyżeraniem.

Gdy Tomisław wjechał na ten zamek, który znał za lepszych czasów, rad był, że uprzedził księcia i co rychlej go oczyszczać kazał, aby przynajmniej w tym stanie Przemysław go nie oglądał.

Jadący za nim ziemianie milczeli, a niektórym z nich z ust wyrwały się przekleństwa.

— Pomścimy się za to! — mówili.

Nazajutrz dopiero znać dano księciu, iż mógł się na gród przenieść.

Wjechał z oczyma spuszczone, wprost udając się do kaplicy, którą arcybiskup, z klasztoru się sąsiedniego zapożyczywszy, jako tako przybrać kazał.

Tu pokłakłszy, uspokojony nieco, modlił się długo...

VI.

W rok potem, we wrześniu, Poznań—jak niegdyś, gdy się sposobił powitać młodą panią swą ze Szczecina — przystrajał się na przyjęcie Ryksy, córki księcia Waldemara.

Z Gdańska przyszła już była wiadomość, iż narieczona księcia wysiadła na ląd szczęśliwie. Wojewoda, kasztelan i wysłane naprzeciw rycerstwo polskie wiodło ją do przyszłej stolicy.

I na ten dzień już jej przybycie zapowiadano.

Arcybiskup Świnka, za którego sprawą małżeństwo przyspieszone zostało, oczekiwał tu na nią.

Nie z taką niecierpliwością radosną, jak niegdyś, wyglądano nowej pani; lud ciekawy był, ale nie wesół. Gody te przypominały pierwsze, gmin półgłosem nucił ciche pieśni o Lukierdzie. Coś, jak obawa pomsty Bożej, drżeniem przejmowało tłumy, zalegające gościniec i place. Nie nie przerywało ciszy ponurej... Dzień był późnej jesieni, z liśćmi pożółkłymi na drzewach, z białym niebem, powleczonem jakby oponą mglistą... Słońce niewidoczne, niby jaśniejsza tylko chmurka roztopiona w powietrzu, zwolna płynęło po niebie. Smutek jakiś wiał z tego powietrza przepelnionego wonią jesienną wędniejących roślin, ściętych zbóż, roli poruszonej sochami, wilgoci osychającej powoli.

Na wieży kościoła stał jak niegdyś strażnik ze zwiniętą chorągwią—lecz zaspany i zdrętwiały.

Na zamku przybranym z całym przepychem na jaki zdobyć się było można, czekał Przemysław, z młodą swą piękną a już zwiędłą od trosk twarzą, na przybycie tej, która mu była przeznaczoną. Opowiadano ją piękną, złotowłosą, niebieskooką, jak pierwszą.

Książę, który długo małżeństwu się temu opierał i zwłóczył je, poddawszy się woli arcybiskupa i duchownych—z obojętnością smutną przyjmował je jak konieczność.

Świnka widział ze smutkiem, iż wspomnienie tej przyszłej żony wywoływało drżenie i obawę jakąś w księciu.

Rzucił wzrokiem obłąkanym dokoła, jakby się zmartwychpowstania zmarłej obawiał. Nie pomagała na to modlitwa ani rycerskie zabawy; jeden arcybiskup słowy namaszczenia pełnemi umiał go otrzeźwić i z zadumy wyprowadzić.

Dnia tego niepokój księcia rósł i coraz się stawał widoczniejszym.

Na zwiady wysłany przez Świnke ks. Jan, wróciwszy, nie o narzeczonej powiedzieć więcej nie umiał nad to, że była młodą, piękną i na podziw—mimo oddalenia od kraju swego i rodziny, wesolą, śmiałą i swobodną.

Arcybiskupowi właśnie się to dobrem zdało, iż weselością tą mogła ponurego pana rozerwać. Opowiadano, jak ją bawiło wszystko, co widziała i spotykała, jak była pokłonom rada, podarunkom wdzięczna i jak szczebiotliwie rozmawiać próbowała z tymi, co naprzeciw niej byli wysłani.

Książę Przemysław wyjechać miał na spotkanie, gdy mu znak dadzą o zbliżającym się orszaku. Koń stał już dlań gotów, okryty oponą złotem szytą i rzędem sadzonym; rycerstwo, mające towarzyszyć, czekało w pogotowiu...

Po przywitaniu pod namiotem w polu rozbitym księstwo jechać mieli obok siebie wprost do kościoła zamkowego, gdzie arcybiskup połączyć ich miał i błogosławić.

Na to wesele uroczyste ziemianie poprzywozili żony swe i córki starsze, izby pełne były postrojonych dziwnie a z prosta, choć bogato, niewiaśc, nienawykłych do ubiorów tych, ra-

dych sobie, swym klejnotom, szubom, sukniom, łańcuchom, kolcom i oczom, co się na nich zatrzymwały.

Cały ten żeński tłum, obyczajem wieku, trzymał się całkiem zosobna, nie mieszając się z mężczyznami. Spozierano tylko ku nim ciekawie, ukazywano sobie znane i głośnie, mieniano załatne wejrzenia i tulono wyrywające się śmiechy.

Przepych strojów był wielki, ale całe inny niż dzisiejszy: chwalono się więcej bogactwem niż smakiem, ilością, niż dobozem. Sobolowe kółpaczki, zawitki z rąbka przezroczystego, jedwabie ciężkie, suknie złotem tkane i szyte, klejnoty kute i nasadzone krągło ogladzonemi kamieniami, jaskrawą tę mozaikę składały.

Poważniejsze niewiasty stały przodem, jako wodzowie i straż, dalej mężatki młode, a w samej głębi dziewczęta, którym ani bardzo patrzeć, ni być widzianemi nie było wolno. Nie rozmawiano głośno, ale szmer i śmieszki nie ustawały na chwilę.

Rycerstwo, opodal stojące osobno, ciekawie oczy wlepiało w tamtą stronę, swobodnie i swawolnie rozmawiając o kobietach, które domyślając się, co rzucane wejrzenia ogniste znaczyły, rumieniły się ciągle.

W niewieściej gromadce opowiadano sobie historię Lukierdy. Te, co nie widziały nigdy straszego księcia, ciekawe były zobaczyć go choć zdaleka.

Dzień już się miał dobrze ku zachodowi, gdy ruch powstał w komnatach. Dano znać. Książę szedł krokiem niepewnym, z oczyma w ziemię, hełm złożony, śpiczasty ciężyć mu się zdawał, zbroja piękna dusić go, szata zawadzać. Szedł jak na stracenie, blady był...

Niewiasty patrząc szeptały: — Nie idzie on, jak ten, co zabija, ale jakby sam na zabicie.

Za księciem postępowali panowie dworu, miecznik, ochmistrze, podkomorzowie, komornicy, podezaszy, lowczy; potem duchowni, kanclerz, pisarze, dworzanie...

Dwór, jak królewski, jaśniał od szkarłatu purpurowego i liljowego, przez Włochy ze Wschodu i z wojen krzyżowych przywiezionego do Europy.

Wspaniała pańska drużyna ciągnęła mileżąca, zadumana, z pana swego biorąc posępne twarze i postawy dumne.

Świnka udał się do kościoła, gdzie na czele duchowieństwa narzeczonych miał czekać. Przemysław sam jechał ze swymi.

Namiot czerwony widać było w polu rozbity, a dokoła pstry orszak księżnej: wozy, konie, ludzi, niewiasty w strojach nie tutejszych.

Książę raz i drugi trwożliwym rzucił okiem. Koń mu się rwał naprzód żywo, on go wstrzymywał.

Około namiotu poruszać się zaczęto, rozstępywać, ustawiać.

Poprzedzający księcia trębacze zadęli wesoło. Przemysław stał już u wnijscia namiotu i ledwie zsiąść zdążył, gdy ujrzał przed sobą Ryksę, wiedzioną przez starszą niewiastę — pobladł i zdrętwiał!

Ryksaż to była, czy widmo z grobu wstające Lukierdy?

Ten sam wiek, ten sam włos złoty, też oczy, też twarz, nawet dziwnem losu zrządzeniem miała na sobie suknie, przepaskę, klejnoty, jakby też same, w których Lukierda chodziła...

Ona to była, zmartwychpowstała, ale z innym twarzą wyrazem. Mimo trwogi, która ją na chwilę bladeścią okryła, nie było w niej owej dziewczęcej a dziecięcej nieśmiałości tamtej, która umarła — ale jakaś duma i pewność siebie królewską, — coś szyderskiego, figlarnego...

Była to Lukierda, ale nie płacząca i słaba—mocna i śmiała.

Nadzwyczajne podobieństwo, które uderzyło tak księcia, iż ani przemówić, ni powitać jej nie mógł, aż ochłonawszy z podziwu—również innych zdumiewało.

Był w tem jakby palec Boży: przebaczenie czy groźba?

Królewna wyuczona była kilku słów niemieckich, które, śmiejąc się sama i śmiech starając stłumić, wymówiła śmiało. Przemysław nie słyszał, nie rozumiał nic, nie wiedział, co rzekł do niej. Wnet na konie siadać znak dano.

Podprowadzono przygotowanego dla młodej pani, którego chłopak w barwie książęcej miał prowadzić.

Dosiadła go rażno, bez obawy, podniosła głowę, spojrzała z góry po orszaku...—znajcie we mnie panią swoją!...

Piękną była, ale ponętny wdzięk ów pociągał i odpychał razem, grozić się zdawał. Młodziuchne dziewczę nad wiek swój było odważne; nie dziwiło się niczemu, nie go nie trwożyło.

Przemysław, obok jadący, oczu prawie podnieść nie śmiał na nią; błądy, jechał z tą myślą tylko, jak dwie niewiasty tak do siebie podobne być mogły, dlaczego Bóg przysłał mu z za morza taką, która co chwila zmarłą męczennicę przypominać miała?

Nie wiedząc o tem, Ryksa była wcielonym sumienia wyrzutem...

Dwór cały szeptał:

— Patrzcie! toż to Lukierda, jaką była przed chorobą! Pamiętacie, gdy wjeżdżali... taż sama! ona!

Na obcych nawet padła jakaś trwoga przesadna. Gdy książę, jak winowajca, jechał z głową na piersi zwieszoną, ona patrzała nań z natrętną ciekawością dziecka, co się zabawce obie-

canej przygląda. Mierzyła go od stóp do głów błyszczącymi oczkami, a z niego wejrzenia jej biegły na drugich i rychlej kto spuścił wzrok przed nią, niż się ona go ułękła. Chłód był w tem wejrzeniu bystrem, ostygłym, czy nigdy jeszcze żadnym ogniem nie rozjaśnionem. Usteczka jej kształtne nie składały się do uśmiechu łagodnego, ale do jakiegoś dumnego szyderstwa. Była przecież córką królewską, choć ojciec jej walczył o utrzymanie się na tronie.

Orszak posuwał się wśród tłumów ludu, stojącego dokoła jedną masą, pozawieszanego na drzewach, drabinach i dachach. Patrzano, a niekiedy z ust starszych ludzi wyrwały się krzyki, jakby ujrzeli upiora.

Kobiety zakrywały oczy, niektóre uciekać chciały, ale ścisł się nawet ruszyć nie dozwalał...

Na wieży bito we dzwony, wiała chorągiew, przodem trębacze grali na surmach, rogach i trąbach i bili w kotły, budząc wrzawę radosną.

A jednak radości obudzić nie mogli.

We wrotach kościoła stał arcybiskup, ubrany w szaty złociste, z wodą święconą i krzyżem.

Wehodzącą parę błogosławił i powiodł z sobą do ołtarza—a pieśń ogromna, zwycięska, radosna się rozlegała.

Szli — wtem Przemko drgnął i zachwiał się, mijał to miejsce, na którym widział stojącą Lukierdy trumnę, a ona sama, w wianku zielonym ze złotem, szła znowu u jego boku — zaślubiał śmierć!

Ciągnięto go do ołtarza, iść musiał... Z pospiechem arcybiskup, widząc go tak bladym i strwożonym, począł obrzęd: związał ręce, zamienił pierścienie...

Młoda pani nie zadrżała, nie zapłakała, nie spuściła oczów; zimną dłoń męża pochwyciła śmiało i ścisnęła ją mocno...

Rozległa się pieśń znowu, nowożeńcy na modlitwę poklekli.

W tłumie, który kościół napelniał, w ciemnym zakątku, na wschodach i skrzyni jakiejś spięty, schwyciwszy się ołtarza, podnosił się mężczyzna lat średnich, ciekawie przyglądając się nowożeńcom. Na widok Ryksy ledwie mógł okrzyk powstrzymać. Niżej spinał się drugi, towarzyszył jego, chcąc także ją zobaczyć.

— Słuchaj, Pawlek!—szepnął pochylając się pierwszy—zepnij się no, zobacz! Toć cud, to druga żywa Lukierda! Oczom nie wierzę!

Nałęcz, gdyż on to był z Zarębą, niewiele zważając, na ołtarz się wdrapał; stanął na nim, spojrzął i przeżegnał się ze zdumienia.

— Wiedział Bóg, co uczynił—szepnął Michno, potrząsając głową. — Zbył się jednej, dał mu drugą, taką samą za karę.

To mówiąc, Zaręba, jakby już dłużej patrzeć nie potrzebował, zsunął się ze wschodów i stanawszy przy Nałęczu, począł mu w oczy patrzeć, jakby pytał: cóż ty na to?

— Co tu moja licha zemsta znaczy? — zamruczał — Pan Bóg sam się jej podjął!

Szeptali tak, ukrywając się w kącie, gdy z kościoła orszak pański wyciągać począł zwolna, a za nim i ciżba na podwórce wyległa, aby się przypatrywać, jak para książęca szła po drodze, suknem szkarłatnem wysłanej do zamku.

Noc już była nadeszła.

Smolnemi pochodniami oświecony zamek i tłum weselny pochód do pogrzebowego czynił podobnym. Nie było nawet okrzyków wesela, tylko szmer jakiś złowrogi.

Zaręba ze swym nieodstępnym druham, przebiwszy się przez klechów, którzy zalegali wniście kościoła, mieli się wydobyć na podwórze, gdy Nałęcz dostrzegł, że kilku ludzi zbrojnych ukazywało ich sobie nieznacznie palcami i ru-

szyło się wnet, jakby w ślad za nimi iść chcieli.

Znano rozgłośnie Zarębę z tego, że przeciwko księciu wicherzył i podburzał, że się do margrabiów brandeburskich i Ślązaków włóczył, spiski knował, na pana odgrażał. Czyhano, chcąc go pochwycić oddawna. W mgnieniu oka domyślił się on niebezpieczeństwa, zaledwie czas miał szepnąć Pawłowi:

— Zdała ode mnie! Mają wziąć, niech jednego, nie dwu biorą... Zostanie kto dla ratunku...

Rzekłszy to, śmiało, przebojem posunął się szybkim krokiem ku wrotom. Nałęcz, który się od niego odbił, ujrzał ludzi, co ich sobie ukazywali, po krótkim wahaniu puszczających się za Zarębą. Miał czas wszyć się w gąszcz ludu, ale go z oka nie spuszczał.

Przyśpieszonym krokiem biegł Zaręba ku bramie, lecz ścisk był taki, że prędko ujęć nie dozwalał. Zrećźnie zwinął się razy kilka w prawo i w lewo, aby wzrok śledzących go zmylić.

Nie powiodło mu się to jednak; czeladź, w której poznał dawnych wrogów swoich, rozdzieliła się, opasując go dokoła, tak, aby wymknąć się im nie mógł.

Zdawało mu się czasem, że go z oczów stracili, lecz krok ledwie naprzód zrobiwszy, postrzegł ich znowu, widocznie czyhających na niego. Szczęściem Nałęcz już znalazł się gdzieś daleko. Mniej pono o niego chodziło.

Michno dobył nieznacznie mieczyka, tak, by stojący przy nim nie postrzegł, i pozostał w miejscu, kryjąc się za plecy czyjeś...

Sądził już, że pogoń zmylił, gdy silna ręka pochwyciła go za ramię. Nim czas miał mieczyk swój podnieść, drugi go trzymał za rękę, trzeci dłonią gębę mu zamknął. Targał się napróżno, popychano go, obstąpiono ze wszystkich stron. Nie władając nogami, niesiony prawie na pięściach, ujrzał się wprędce w tej stronie, gdzie na

wałach było stare więzienie. Ten, co go wskazał i pierwszy pochwycił, był starym jego wrogiem. Zwał się Szemsza, łowczy zamkowy; człek był straszny, mało co mówiący, zająkliwy, ale siły ogromnej i serca nie mniejszego.

Szemsza, o czym Zaręba wiedział, zdawna się go pochwycić odgrążał i dyby mu obiecywał. Michno mało zważał na to, kilka razy rąk jego uszedł i ufał, że i teraz się wysłiznie.

Ale obrona była niemożliwa.

Zgnieciony, ściśnięty, opasany tak, że rąk podnieść nie mógł—gdy mu i mieczyk wyrwano, nie postrzegł się, jak go do szyi więzienia wepchnięto, drzwi otworzono, do środka wtrącono, a Szemsza, ciągle za kark trzymając, kazał izbę otworzyć, do której natychmiast go wrzucił.

Zaręba znalazł się w ciemności, zachwiał na nogach i padł, tłukąc o ścianę, której dojrzeć nie mógł.

Zewnątrz drzwi zawalono drągiem, a Szemsza wołał na stróżów, iż głową za więźnia będą odpowiadać.

Po tylu leciech bezkarnego snucia się po kraju, tylu bytnościach potajemnych w Poznaniu i na zamku paść teraz w szpony Szemszy i mściwego księcia, dla Zaręby niepojętem się wydało.

Przyjdzie więc nałożyć głowę! pomyślał.

Wydało się to, że on Sędziwoja namawiał pierwszy do poddania kaliskiego zamku, który tyle krwi kosztował, że Nałęczów i ród swój pociągnął do innych książąt i uczynił z nich wrogów Przemysława. Za schwytanie go, za głowę była nagroda wyznaczona.

Na dworze teraz nie miał nikogo, coby się za nim przemówić ważył. Przyjaciela, którzy się go nie zaparli, z samej obawy posądzenia, że z nim trzymali, odezwać się w tej sprawie nie mogli.

Całą nadzieję pokładał na tem, że wesele

trwać miało dni kilka, a w czasie godów tracić go nie godziło się, przez ten zaś czas Nałęcz... mógł się postarać, aby go w jakikolwiek sposób stąd wyrwać.

Więzienie z dawnych czasów było mu dobrze znane — składało się z izb w wałach i murach warownych i zameczystych. W ciemnicy jego u góry okienko małe, nietylko człowieka, ale dwu pięści razem złożonych wydobyć nie dozwalało. Gruba krata dzieliła je na czworo jeszcze.

Mieczyk, jaki miał, wyrwano mu, został mu tylko nóż za nadrą skryty, a u pasa drugi mniejszy. Obmacawszy się, znalazł przy sobie kaletę, w której para garści srebrnych pieniędzy leżała na dnie.

Podniósłszy się, obmacał ściany, obszedł izbę dokoła. W rogu leżało trochę siana i słomy zmiętej. Do jednego murku przytwierdzony był kawał żelaznego łańcucha z obręczem, służący do okucia więźnia.

Mrowie przeszło mu po plecach.

Z góry przez otwór dochodziła go wrzawa na podwórcach, gdzie gromady czeladzi u beczek i stołów się zabawiała. Grali gęślarze, śpiewano pieśni, hukano.

Nadzieję ostatnią miał w Nałęczu. Jeżeli ten umknąć zdołał, mógł się zająć uwolnieniem jego. Ale jak?

— Kto zemsty pragnie, musi się sam na nią wystawić — rzekł w sobie. — Schwytali mnie, głowę dać muszę, ale i on nie ujdzie cało. Pomszczą mnie moi, a krew ta może zemstę przyspieszy.

Myślał jeszcze, że w więzieniu lepiej było ginąć z własnej ręki, niż sromotnie z ręki kata. Nóż miał ostry. Ale z tem mógł czekać, aż mu wyrok ogłoszą i księdza przysła. Bez sądu i kapłana nikogo nie tracono.

Smutno mu się stało, choć do rozkwilania się nad sobą nie był skłonny — ale wprędce mę-

stwo odzyskał i nie mając do stracenia, zaczął bić we drzwi z sił całych. Stróżów blisko nie było, bo i ci poszli do piwa. Nierychło dopiero odezwał się głos z drugiej strony, nakazujący mu, aby spokojnie siedział, nie chcieli mieć z wartownikami do czynienia.

Zaręba począł wołać po imieniu stróża, aby mu świeżej dał słomy, wody lub piwa, za co grosz jaki dostać może. Porozumienie się z napylm Herką było dosyć trudne. Odsunął on w górze zasuwę, wymyślali sobie wzajemnie. Michno wsunął kilka pieniędzy, i tem go nieco udobruchał.

Tak mu się przynajmniej zdawało, gdy Herka odszedł milczący.

Wkrótce potem w miejscu jego jednego, dwu się ich zjawilo ze światłem, które w ścianę utkwisz, rzucili się na więźnia, i mimo rozpaczliwego oporu, odjęli mu nóż, kaletę, odarli z lepszej zwierchniej odzieży... Rozdzianego tak na pół, rzucili na zgniłą słomę i drzwi za sobą zatrzasnąwszy, powrócili do piwa.

Zaręba, nie mruczając już, jak kłoda legł, widząc, że przyszła nań zła godzina.

Przez całą tę noc ucztowano na zamku, a do ciemnicy nikt się już nie dowiadywał. Wśród wrzawy tej znużony Zaręba usnął, choć trząsł się z zimna, bo mu stróże i opończę zabrali. Nade dniem dopiero uciszyło się nieco, gdy uczujący pospali się po izbach i rozeszli po gospodach.

Z brzaskiem dnia wróciła gędźba, okrzyki, dzwony, hałas, a więźniowi chleba nawet i wody nie przyniesiono.

Nie stukał do drzwi, nie prosił o nic, duma mu wróciła, chciał ginąć bodaj z głodu.

Nie liczył godzin nawet, nie wiedział, czy było południe, czy ranek jeszcze, czy wieczór — gdy naostatek stróż nieznajomy wniósł mu

dzbanek, chlebem nakryty, i słowa nie rzekłszy, wyszedł. Pić chciało mu się okrutnie, odrazu więc połowę wody wyżył — ale dreszcze przejęły go jeszcze większe. Padł więc znowu, tuląc się w słomę.

Tymczasem nad nim w górze brzmiały pieśni weselne, gędźby, trąby i hukania.

Ucztowano dzień cały.

Zaręba poszukał chleba, zjadł trochę i spał. Ale sen to był gorączkowy, przerywany i niespokojny. Spoglądał ku okienku na pół trawami zarosłemu i domyślił się, że noc nadchodziła.

Wrzawa rosła jeszcze, sen go odbiegł. Przed nim na ziemi światelko słabe padało na słomę, nagle i ten ostatni promyczek zniknął.

Zaręba głowę podniósł do góry — okno czemś było zaparte. Cichy głos dał się słyszeć, po którym poznał wiernego Nałęcza.

Wstał co żywiej, aby się zbliżyć ku niemu, ale wyprostowawszy się i ręce wyciągnawszy, jeszcze od okna był daleko. Otwór znajdował się w szyi, która ze sklepienia wychodziła.

— Michno! — wołano z góry.

— Jestem tu!... Przekup stróżów... Odarli mnie... marznę... Próbuj, co można, bo żywym stąd nie puszcza.

— Straż u drzwi mocna... ludziom zagrożono.

— Póki wesele trwa, póty życia mego... Ratusz Pawłek... bo zginać przyjdzie!

Nałęcz coś szepnął, w otworze znowu błysło światelko — odszedł.

Na trzeci dzień po wzięciu Zaręby, kasztelan dopiero oznajmił Przemysławowi, że niepoeciowego Michnę ujęto i trzymano w ciemnicy.

Ksiązę odparł krótko:

— Zdrajca jawny... sprawić mu, na co zasłużył.

— Byłbym go dał ściąć — rzekł kaszte-

lan — lecz czasu wesela nie godziło się krwi przelewać.

Przemysław nie odpowiadał nic.

Trzeci dopiero dzień na zamku mieszkała pani młoda, a ledwie poznać było można, iż obcą była. Poczynała sobie ze wszystkimi tak śmiało, iż nikt nie ważył się jej przeciwieć.

Właśnie kasztelan miał odejść z wyrokiem śmierci na Zarębę, gdy zasłona we drzwiach uchyliła się i młoda księżna weszła. Wtargnęła tu, jak pani, z twarzą wesołą, z ustami dumnie podniesionymi, strojna, pyszna, niemal zuchwała.

Na widok jej Przemysław zmieszał się i krok zrobił ku niej.

Ona, zobaczywszy we drzwiach kasztelana, zwróciła się do niego i łamanym językiem niemieckim, śmiejąc się sama ze swej mowy, zapytała go, jakaby miał sprawę. Ofiarowała się w miejsce męża ją rozstrzygnąć.

Kasztelan spojrział badając na pana, który głowę spuściwszy, milczał. Po chwili dopiero zwrócił oczy na nią i rzekł:

— Schwymano zdrajcę! cóż z nim byś uczyniła?

Rykxa brwi ściągnęła.

— U nas zdrajców wieszają albo ścinają — odparła — a u was?

— Śmiercią też karzą.

— Kogóż zdradził?

Kasztelan wtrącił:

— Z wrogami się znosił, ludzi przeciw panu buntował.

Księżna zadumała się nieco, ale w twarzy jej usposobienia do łaskawości nie było.

Bawiła się rękawem swej sukni obojętnie.

— Stracić go każecie? — zapytała. — Ależ wesela nasze trwa jeszcze. Krwią go oblewać... nie trzeba.

Przemysław szukał w jej twarzy litości — nie było jej, tylko zadumanie chłodne.

— Krew na weselu — dodała — zła wróżba.

— Odłożym tracenie na później — odezwał się kasztelan.

Rykxa nie wstawiała się za winowajcą — odwróciła się od kasztelana, popatrzała na męża, poczęła pytać o fraszki i śmiać się.

Pierwsze te dni schodziły na wzajemnem badaniu się małżonków. Arcybiskup Świnka, który się umyślnie zatrzymał, z ciekawością patrzył na pierwociny nowego życia Przemysławowego.

Szczęścia, jakiego się spodziewał, widać nie było. Rykxa zbliżyła się do męża śmiało, w księciu poufalenie się jej budziło jakąś trwogę. Bładł, oczyma rzucił obłąkanemi, usiłował wesołość udać, a okazywał poruszenie tylko niespokojne.

Nie odejmowało usposobienia wesołego młodej pani, nie czyniło wrażenia na niej — krzątała się z ciekawością i trzpiotaniem dziecinne. Obchodziła wszystkie kąty zamkowe, rozpytywała, jak umiała, ludzi, przyglądała się sprzętom. Nieustannie wydawała rozkazy, a gdy tych dobrze nie rozumiano, śmiała się do rozpuku. W głosie jej było coś takiego, co nieposłuszeństwa nie dopuszczało.

Ci, którzy tu pamiętali Lukierdę, szeptali cicho:

— Podobna jest do niej, jak dwie krople wody — ale gdyby tamta tak sobie jak ona postępowwała, nie umarłaby złą śmiercią.

Czy Rykxa, jadąc tu, wiedziała o losie, jaki spotkał jej poprzedniczkę, odgadnąć nikt nie umiał — przypuszczano, że przed nią tragiczny zgon ten utajono.

Dnie weselne miały się ku końcowi, ziemianie rozjeżdżali powoli; arcybiskup, pobłogosławiwszy młodą parę, powrócił do Gniezna, księstwo sami na zamku zostali.

Przemysław, jakby się starał żony unikać, czynnym był bardzo, wyjeżdżał na łowy, zasiadał w sądach, kazał sobie czytywać ks. Teodorykowi. Z żoną szło mu trudno.

Nie pytała o pozwolenie, gdy chciała przyjść do niego, gonila za nim ciągle, a często, gdy szukał pozoru do oddalenia się, dawała rozkazy przeciwne. Przemysław ulegać musiał.

Nigdy go jeszcze tak powolnym nie widziało, chociaż powolność ta nie pochodziła z miłości, lecz z jakiejś zabobonnej obawy.

Rykxa była dlań upiorem mścicielem—sama nie wiedząc o tem.

Dnia jednego, gdy księżę wybrał się na łowy, została sama na zamku.

Czynna i ciekawa, poszła obchodzić zabudowania dokoła. Chciała zameczysko tak urządzić, aby jej przypominało ten szwedzki gród, na którym się wychowywała. Biadała nad tem, że tu jezior nie było. Sama jedna z ochmistrzą starą, którą z sobą przywiozła, korzystając z nieobecności męża—poszła szperać po kątach.

W tej przechadzce popod murami Ryksa posłyszała głos ludzki, który się zdał wychodzić z pod ziemi. Stała.

Niedostrzeżony prawie otwór, kratą obwarowany, zwrócił ciekawe jej oczy. Pochyliła się nad nim.

Było to okno więzienia. Wewnątrz niego zawodził ktoś głosem żałosnym, tęsknym a smutnym.

Słów nie rozumiała Ryksa, ale nuta ją poruszyła. Po chwili poczęła wołać po niemiecku, dopytując więźnia, kto był i za co siedział.

Nierychło doczekała się odpowiedzi.

— A któż to pyta?

— Taki, coby mógł poratować może, gdyby było warto.

— Kto?

— Księżna, żona pana twego.

Zaręba rozśmiał się szydersko. Nie wierzył. Ryksa powtórzyła:

— Jam jest! Przysięgam na to!

— A jam jest ten—odezwał się Zaręba—co bronił pierwszej żony Przemysława i ocalić jej nie umiał. Strzeż się, aby i ciebie ten co ją los nie spotkał!

Ryksa krzyknęła z oburzeniem:

— Kłamca jesteś!

— Na Boga żywego, nie!—zawołał głos z podziemia.—Patrzałem na to, jak ją męczono lat wiele, dawszy na pastwę służebnym. Wreszcie kazał ją dziewczkom udusić! Nie wierzysz mi?—pytaj drugich! Śpiewałem właśnie tę pieśń smętną, którą o niej wszystek lud nuci.

Ryksa odskoczyła od okna, nie chcąc już słuchać więcej; twarz jej okryła się rumieńcem, oczy nabiegły łzami. Skinęła na starą towarzyszkę, aby do komnat powracać.

VII.

Nie była to słaba i płacząca a przelekła Lukierda. Wprędce ochłonawszy, córka północy odzyskała męstwo.

Mówiono jej o śmierci pierwszej księżnej, ale inaczej. Chciała wiedzieć prawdę całą, a nim się o nią miała męża zapytać, potrzebowała przekonać się, czy więzień nie był potwarą.

Z gorejącymi policzkami, poczęła przebiegać izby swoje, szukając w myśli, kogo pytać miała, ktoby jej prawdę powiedział.

Stara Juta, ze Szwecyi przywieziona, pół niemka, pół szwedka, którą jej dla języka jako tłumacza dodano, porobiła już była mnogie znajomości na zamku i w mieście. Nastęrczano się

jej, wiedząc, że w łaskach była u pani, a mogła być w różnych potrzebach pośredniczką.

Miedzy innemi stara Krywicha, także na pół niemka, u której Mina niegdyś mieszkała, już się była na zamek wśliznęła.

Księżna, chcąc się prawdy dobrać, zażądała od Juty, aby jedną z miejscowych kobiet potajemnie przyprowadziła. Chciała ją kazać badać przy sobie.

Juta przywiodła najlepiej jej znaną Krywicę, która poczęła od tego, że księżnie do nóg upadła i obsypała ją błogosławieństwami.

Stara Juta służyła za tłumacza. Wiedziała już ona dawniej, choć o tem pani swej nie mówiła, w jak różny sposób opowiadano historię Lukierdy. Strach, jakim ją przejmowała, tłumila w sobie.

Widząc swą panią poruszoną mocno po tajemniczej rozmowie u okna więzienia—której nie słyszała—Juta domyślała się czegoś, ale nie historyi Lukierdy.

Dopiero gdy jej kazano pytać Krywicę o zmarłą księżnę, zrozumiała niepokój Ryksy. Chciała podszeptać Krywisze, aby nie wydała, co o tem mówili ludzie, lecz księżna, postrzegłszy znak dany, groźnie poczęła się domagać prawdy.

— Niech mówi, co wie! chcę wiedzieć wszystko! Nie ulękne się! Niech powie, czy była winną i co się z nią stało. Dlaczego ją zamordować kazano?

Z przerażeniem Juta, posłyszawszy to, oczy sobie zakryła.

Księżna coraz napastliwiej żądała całej prawdy, powtarzając, że wiedzieć ją musi i potrafi ją wybadać.

Niepotrzebną nawet była teraz Krywicha dla powtórzenia powieści, którą Juta już raz niejednokrotnie słyszała w drodze do Gdańska i na zamku.

Rozpytywała ona pilno, bo jej o swą panią chodziło, a im książę okazywał się powolniejszym, tembardziej lękała się chytrości jego i skrytego okrucieństwa.

Nie można więc było nic teraz utaić przed panią. Z płaczem poczęła opowiadanie Juta, do którego Krywicha potrosze się przyczyniła, rada, że zalecić się może.

Długo, szczegółowie opisywały jej zaślubiny, przybycie, pobyt na zamku Lukierdy, prześladowanie przez Minę. Na ostatek Krywicha z gorącością wielką opowiedziała historię nocy tej strasznej tak, jak ją z ust umierającej Bertochy słyszała.

Rykxa słuchała pilno z oschłemi już oczyma, na pozór ostygła, niewzruszona. Gdy Krywicha, dokończywszy, wspomniła o pieśni, którą lud nucił o zabitej księżnie, kazała ją sobie tłumaczyć—ale i ta lez jej nie wycisnęła.

Krywicha, bijąc się w piersi, zaklinała się i przysięgała, że to, co mówiła, z własnych ust jednej z najwinniejszych słyszała.

Rykxa spytała ją jeszcze o Minę — ale o tej różne chodziły wieści, a najpewniejszym zdalo się, że do brandeburskiej marchii zbiegła.

Długo jeszcze przeciągnęło się badanie, aż książę z łowów powrócił. Juta chciała swą panią rozebrać i namówić do spoczynku, lecz Ryksa, czekając na męża, którego widzieć chciała, została w dziennym swym stroju.

Na twarzy jej malowało się postanowienie jakiegoś silnego, które Jutę przerażało.

Zaledwie tentent w dziedziniec oznajmił powrót Przemysława, Ryksa przez ganki wprost poszła naprzeciw niemu do izby, w której zwykł był wieszczyć, gdy z łowów powracał.

Wehódząc, zastała go jeszcze w kaftanie i przy mieczu, zaledwie się rozdziewającego.

Powolnym krokiem, ułożywszy sobie twarz spokojną, zbliżyła się do niego.

Spojrzawszy na nią, Przemysław poznał, a raczej przeczuł, iż niosła mu coś niespodzianego.

Siadła na ławie po przywitaniu, aby być świadkiem wieczerzy, do której służba szybko posługiwała.

Książę, natrętnem tem oczekiwaniem żony nieco zmieszany, radził jej odejść, ale go nie posłuchała. Prędko więc dokończył wieczerzy, przeczuwając już, że o coś pytany będzie lub proszony. Natychmiast skinął na dworzan i komorników, aby się oddalili.

Rykza czekała cierpliwie.

Dopiero, gdy zostali sami, wstała ze swą dziecinną powagą jakąś, mówiąc do męża:

— Nam tu mogą rozerwać rozmowę. Muszę na osobności mówić z wami. Chodźmy do komory waszej.

— Późno dziś — rzekł, wahając się Przemysław — rozmowę wszak mogę odłożyć do jutra.

— Nie — odparła Rykza. — Ja dzisiaj chcę mówić z wami.

I nie czekając już odpowiedzi, przodem weszła do izby sąsiedniej, drzwi otwarte zostawiając za sobą.

Przemysław musiał iść za nią.

Stanąwszy w pośrodku, zwróciła się do niego, jak sędzia do winowajcy, mierząc go bystro przenikającymi oczyma.

Już miała rozpocząć, gdy głosu jej zabrakło, przycisnęła rękę do piersi, a że tym ruchem przypominała Lukierdę — książę cofnął się przestraszony.

Rykza długo, bacznie mu się przypatrywała, oczy jej zdawały się sięgać w głąb duszy.

— Chcę od was dowiedzieć się — rzekła głosem mężnym — prawdziwej historii o Lukierdzie.

Chciano ją taić przedemną, ja tajemnic żadnych nie znoszę. Są to ciemności, lubię światło i dzień biały. Mówcie mi — prawdę.

Przemysławowi gniew naprzód na twarz wybuchnął, chciał srogim być — uśmierzył się wprędce.

Nie odpowiadając nic, zszedł na stronę i nóż, który miał przyczepiony do pasa, rzucił z trzaskiem na ławę.

Rykza ani ruchu tego, ni milczenia, ni brzęku się nie ulękała.

— Jeśli wy mi nie zechcecie mówić o Lukierdzie — dodała — będę musiała wierzyć ludziom, co mówią...

— Cóż mam ci mówić? co? — wybuchnął książę gwałtownie. — Ludzie obwiniają mnie, plotą baśnie. Jestem niewinny i to tylko powtórzyć mogę: jestem niewinny.

— Lukierda nie zmarła śmiercią swoją — odparła Rykza. — Dlaczegoż ludzie was obwiniają? Skąd te baśnie? Co za pieśni o niej nuca?

— Pieśni! głupia ciżba! głupie pieśni! Co znaczą karczemne śpiewy!

Mówiąc, Przemysław rzucał się i gniewał. Rykza przypatrywała mu się, śledząc krok każdy.

— Powiedźcież wy mi prawdę — dodała. — Mielicie jakąś inną miłośnicę — to wiem. Nie rozumiem — wtrąciła z uśmiechem dumnym — żeby to ją miało wielce obchodzić! Wy wszyscy macie miłośnice, ale co żona i księżna ma z niemi?

Ruszyła ramionami, usta wydeła pogardliwie.

— Jakże śmiała jedna dziewczka jakaś z księżną chce się równać? prawa jakieś rościć? A wy, jak na to mogliście pozwolić?

— Wiecie wszystko — przerwał jej Przemysław z gniewem — po cóż pytacie mnie? Nasłuchaliście się już baśni na zamku, przyniosły wam je baby usługne. Wiercie im sobie, gdy chcecie.

— Ja właśnie prawdy chcę od was, aby nie być zmuszoną im wierzyć — odparła chłodno Ryksa. — Więc mówcie.

Przemysław przeszedł się po ciasnej izbie. Ile razy spojrzął na tego żywego upiora, stojącego przed sobą, na te oczy zimne, szklane, ostre, które się w niego wpijały, dreszcz przechodził po nim.

— Czego chcesz odemnie? — zawołał zrozpaczony. — Ja sam nie wiem spełna, co i jak się stało! Łukierda tęskniła za swoimi, niczem jej nie można było zaspokoić. Płakała, zabijała się łzami. Odpychała mnie, nie cierpiała.

— A wy?

— I jam ją w końcu znienawidzić musiał — odpowiedział Przemysław. — Nie na to mąż, jak ja, niewiastę bierze, aby mu ona płacz do domu codzienny wносиła. Nie miałem potomstwa, nie mogłem go mieć — nie żyłem z nią.

Ryksa, stojąc nieruchoma, z oczów go nie spuszczała; gdy mówił — słuchała nie przerywając. Przemysław, poruszając się wspomnieniami temi, mówił coraz goręcej.

— Mnie i siebie dręczyła! — zawołał.

— Czemuś jej nie odesłał do ojca?

Przemko rzucił głowę.

— Wszak prosiła o to...

— W pieśni — przerwał książe chmurno. — Mnie nigdy nie mówiła o tem... Jam nie słyszał prawie jej głosu. Znenawidziły ją sługi, zniechęciła domowników... zabili ją.

Brwi Ryksie się ściągnęły — drgnęła.

— A wy, coście tu panem, dopuściliście...

Przemysław rozpostarł ręce.

— Tak — rzekł — winienem, choć niewinny jestem. Ale na Chrystusa przysięgam, ja nie dawałem rozkazu — ja nie widziałem o zabójstwie!

— Nieszczęśliwa, słaba, bojaźliwa niewiasta! — odezwała się Ryksa. — Ja — ja inną byłabym na jej miejscu.

Przemysław spojrzął na nią. Stała nieulekciona, smutna tylko.

— Na jej miejscu jabym te sprośne baby dała potracić. Sługi! niewolnice żeby śmiały targnąć się na mnie! Nie mówcie mi, żeście niewinni. Na coście jej dali i trzymali takie sługi?

Przemysław powtórzył bezmyślnie:

— Nie winienem!

— Winnicie — odparła Ryksa — bo na waszym zamku, pod bokiem pana, nie się stać nie powinno bez jego woli!

Milczeli oboje. Ryksa białą ręką pogładziła włosy złote, ustąpiła kilka kroków i na ławie przysiadła.

Rozmowa, którą on miał za skończoną, dla niej była dopiero początkiem. Nie zważała na to, że mąż zbyć się jej chciał widocznie.

— Tak, wy winnicie — dodała — ale winna i ona! W jej miejscu Ryksa królewna postąpiłaby inaczej.

Spojrzeni na siebie. Młoda pani rąbek, który twarz jej dokoła otaczał, wzięła w ząbki białe i gryzła go niemi.

— Wiem więc wszystko, jak było — rzekła — a widzicie, że się jej losu nie boję. Jestem córką ojca, co nawykł wojować z rodziną, jam gotowa z własnym domem. Mnie tu sługi nie zabijają, bo ja je za jedno zuchwałe spojrzenie zabijać każę. A zechcesz mieć miłośnicę — nie powiem nic! Ale tego niechlujstwa, żeby mi na zamku nie było. Do chlewów z tym brudem!

Książe słuchał jej milczący.

Wstała powoli z ławy.

— Tak! tak! — zamruczała — prawdą jest wszystko, co pieśń mówi! Nieszczęśliwą zamęczyli! Ludzie mówią, że ja do niej podobna? To być nie może... Ja czuję w sobie, że nie dałabym się, jak w sidła złapanie ptaszę, udusić! Nie!

Przemysławowi dolegało już to powtarzanie

i zwracając się ku niej, rzekł, chcąc zakończyć rozmowę:

— Tak... była sama sobie winną... i jam winien był; najwinniejsze te baby przekłete! Ale dziś to niepowetowane sprawy! Nakazałem modlitwy, zakupiłem nabożeństwa, uspokoiłem sumienie... Nie mówcie o tem, nie jędrzcie rany!

Rykxa patrzyła nań.

— Między nami tajemnic być nie powinno— odezwała się z powagą. — Jam tu nie żadna miłośnica, ale córka królewska i żona, której przysłało powiedzieć, co na sercu miała... a iść krokami pewni. Pocem tać miała! Ja się nie boję nikogo.

Z uspokojoną nieco twarzą ksiązę się do niej przybliżył.

— Dość tego — rzekł. — Chcę wiedzieć tylko, kto śmiał do uszu waszych przynieść te...

— Żebyś go ukarał? — przerwała Rykxa. — Karzze wszystkich, co pieśń tę śpiewają.

Zzymnął się ksiązę.

— Ludzie ci niewdzięczni — odezwał się — nie nawidzą mnie. Ale któż ci te pieśni tłómaczył?

Rykxa uśmiechnęła się.

— Kto? Chodziłam po zamku — odparła — usłyszałam głos z pod ziemi. Kto wie? może od jej grobu?

Książę przeżegnał się z przestachem, po twarzy Rykxy przebiegło jakieś drgnięcie szyderskie.

Widząc trwogę męża, ulitowała się w końcu nad nim. Jakby się do wyjścia przysposabiła, ściągnęła suknię.

— Macie dość tej rozmowy — dodała — prze-rwijmy ją. Ja wiem, com potrzebowała z ust waszych usłyszeć i wy dowiedzieliście się, że drugą taką, jak ona, nie będę. To dość!

Przemysław, jakby już słuchać nie chciał, kaftan, który miał na sobie, począł gwałtownie ściągać. Oczy mu dziko błyszczały... mruczał coś niewyraźnie.

Księżna popatrzyła na lampę, po ścianach i jak gdyby wszystko już było zapomniane i skończone, odezwała się głosem jasnym:

— Jest goniec od księdza Jakóba! Ciesz się, ksiązę. Dobre wieści!

Zwrócił się ku niej Przemysław, patrząc ciekawie.

— Ziemianie twoi dzielni są, należy im nagroda. Nie czekali rozkazów tych, nie pytali o nie, zebrali się, uderzyli na tę twierdzę, którą oddaliście Szlżakowi.

— Ołobok! — wykrzyknął ksiązę, podnosząc ręce.

— Tak! odebrali go — mówiła Rykxa wesoło prawie — całą tę ziemię zawojowali.

— A mnie tam nie było! — z boleścią zawołał ksiązę.

Rykxa, która o wszystkim już starała się być uwiadomioną, znalazła i na ten okrzyk męzowski odpowiedź.

— Mówiono mi — rzekła — iż wy tam nie powinniście byli się znajdować, boście Ołobok ten ustąpili i na tem pieczęć swą przyłożyli, a oni do niczego się nie obowiązali.

Z pewnem zdumieniem ksiązę popatrzył na żonę swą, która już tak wprędce wtajemniczyła się we wszystkie jego sprawy.

— Bogu niech będą dzięki — rzekł. — Wszystkie spiski i knowania stłumione. Ołobok odebrany, oddycham lżej.

— Tak! możecie i powinniście iść teraz i zdobywać — dodała Rykxa. — Królewska córka, spodziewam się być królową!

Rękami nad głową uczyniła ruch, jakby wkładała koronę i powoli szła z izby.

Książę stał długo zadumany o całej tej rozmowie, o żonie, o sile, z jaką występowała, a którą mu się prawie groźną wydała.

Nie dano mu czasu długo nad tem rozmyślać;

wszedł lektor Teodoryk z księgą modlitw w rękę. Była to jego godzina.

Przemysław, syn ojca tak pobożnego, tak świętego, iż go innym za przykład stawiano, bo nieraz nocą, gdy wszyscy spali, okryty włosienicą, przy małej lampce do dnia się modlił, wychowaniec Bolesława, słynnego także z pobożności, kończył dzień każdy modlitwą.

Ks. Teodoryk z nim ją odmawiał. Tego dnia począł od powinszowania odzyskanego Ołoboku, z czego się wszyscy cieszyli. Książę też dla radości tej zapomniał o przykrej z żoną rozmowie.

Nazajutrz przybył z rozjaśnioną twarzą arcybiskup. Mąż to był stworzony, aby w tych czasach bezładu i rozprzeżenia, silną dłońą chwyciwszy wodze, przodował wszystkim osłabłym i powątpiewającym. Z każdym dniem zyskiwał na powadze, na sile, na wierze w posłannictwo swoje. Na twarzy jego malował się ten spokój mężny, który znamionuje wielkich ludzi.

— Ziściły się słowa! — rzekł, ręce podnosząc ku Przemysławowi, który śpieszył na jego powitanie. — Ziemi kawałek niewielki był, ale srom odezwania bolesny! Boże błogosław! Jest to wróżbą przyszłości lepszej.

— A Henryk? — odparł książę.

— Jeśli się nie mylę — rzekł Świnka — nie będzie miał ani czasu, ni ochoty odzyskiwać, co wydarł niesłusznie. Ja zwołać nań muszę synod dla sprawy mojego brata, Tomasza wrocławskiego, zdzierstw i krzywd naszych. Groźbę mu pośle; nie zechceci usłuchać, piorun rzucić będę zmuszony. Niechętnie ciskam je, bo i z temi oswajają się ludzie, ale na tego zuchwalca, który praw żadnych znać nie chce — będę zmuszony.

Za arcybiskupem wtoczyli się z twarzami wołanymi kasztelan, wojewoda, urzędnicy, wszyscy panu winszując, a dumni mężstwem swojego rycerstwa.

Gwarna rozmowa ledwie się rozpoczynała, gdy ochmistrz dworu książęnej drzwii otworzył i piękna Ryksa weszła strojna, dumna, a tak swobodna i wesoła, jakby nie wczoraj nie zachmużyło jej czoła i nie ścisnęło serca.

Książę się jej coraz bardziej zdumiewał.

— Wy, ojcze — odezwała się, całując rękę arcybiskupa — zawsze nam z sobą przynosicie błogosławieństwo... I książę, pan mój, szczęśliwy jest, jak nie był dawno...

— Bodaj ten dzień wróżył wam całe pasmo jasnych! — odezwał się Świnka z uniesieniem proroczem. — Tak! Spełni się, com nosił i noszę w sercu, jako modlitwę do Boga! Ujrzymy znowu na głowie księcia koronę, długo spoczywającą w ukryciu, a z nią przyjdą: siła, pokój i ład. Jeden tu pan być musi znowu...

Przemysław wzdychał.

— Ojcze mój, daleko jeszcze do tego!

— Jeden Bóg wie, co dalekie, a co blizkie — odparł Świnka — człowiek czynić ma, co powinien, a Opatrzności zostawić, co z czynów jego ma wyrosnąć.

Na zamku, w mieście panowała radość wielka. Echo jej odbiło się aż w ciemnym tem więzieniu, w którym zapomniany siedział Zaręba.

Staraniu ukrytych przyjaciół swoich, zabiegom cichym Nałęczu winien był, że go dotąd na stracenie nie wywiedziono. Dzień po dniu zwlekał się wyrok i jego wykonanie.

Słaby promyk nadziei jakiejś świtał, iż wierny Pawłek potrafi go wyzwolić.

Pobożny i zabobonny Zaręba, jak naówczas byli wszyscy, śluby czynił wielkie, jeżeliby mu cud Boży ocalił życie, ale zarazem zemstę poprzysięgał najadalszą jeszcze znienawidzonemu księciu.

— Nie zginie on tylko z mej ręki — powtarzał ciągle — jeśli mnie przyczyna ŚŚ. Pańskich stać wyzwoli.

Nałęcz biegł i robił, co było w mocy jego, aby stróżów przekupić, albo się podkopać do jamy. Jedno i drugie się nie wiodło. W ostatku, gdy się przekonał, że już o wyłamaniu się wcale myśleć nie było można, Nałęcz i Zarebowie złożyli grzywnien tyle, że ich starczyło na wykupienie najdroższego życia.

W szynku miejskim, do którego czasem dozorca więzienny przychodził, nieznani ludzie poczęli się zbliżać do niego, poić, zawiązywać rozmowę, w końcu mu podszeptano okup tak wielki, że oprzeć się było niepodobna. Miał za co biedny człek kupić sobie ziemi kawałek.

Ale razem z więźniem uchodzić musiał i dozorca na Ślązk, do Brandeburgów, w kąt jakiś daleki. Miał tu żonę i dzieci.

Dnia jednego przyszło nareszcie do zgody. Znaleziono w więzieniu człowieka, zdawna tam za zabójstwo osadzonego, który do Zareby wzrostem i włosami był podobny... Tego miano osadzić na jego miejscu, jakby ci, co pochwycili Michnę, omylili się.

Więzień zgadzał się na to, co go mówić nauczono, dając mu nadzieję oswobodzenia. Wieczorem wydobył się Zareba z ciemnicy, gdyż straż nie było, wypuszczony przez dozorcę, i wprost poszedł do kościoła, razem Bogu dziękować i zemstę przysięgać.

W jego miejscu siedział już zbój ów wyuczony, aby go zastąpił.

Tymczasem o Zarebie zapomniano; dopiero, gdy po odzyskaniu Ołoboku mowa była o Kaliszu i zdradzie Sędziwoja, przypomniano sobie jej sprawcę.

— Stracono go, czy nie? — zapytał książę.

— Rozkazu nie było.

Ręką dał znak książę, iż dłużej zwlekać z tem nie było potrzeby.

Nazajutrz rano kazano Zarebę na plac wy-

prowadzić. Szemsza, który go pojmał, dowiedziawszy się o tem, szedł patrzeć, jak wrogowi łeb zetną.

Wtem ujrzał na sznurze ciągniętego człowieka.

— A toć nie on jest! — zakrzyknął. — Gdzież tamten?

Usiłowano wmówić mu, iż ten był, którego pojmał. Wszczął się spór i rozterka, strzęsiono ciemnice — innego nie było!

Wściekał się i pieniał Szemsza, ludzie się zaprzysięgali, że szatan chyba zamianę zrobił w więzieniu, z którego nikt wymknąć się nie mógł.

Wstrzymano wykonanie wyroku, bo człek był inny, a ten wyznawał, że jego czasu wesela niewiedzieć za co wtrącono do więzienia. Dozorca więzienia, stróż, broniąc swej sprawy, obwinił Szemszę lub szatana.

Musiano się odnieść do księcia. Przemysław wiadomość dziwną przyjął obojętnie.

— Przedzaj czy później — rzekł — Zareba wpadnie w ręce moje, a naówczas nie ujdzie śmierci.

Puszczono tego, który zastąpił winowajcy miejsce, a Szemsza poprzysiągł, że albo sprawa w tem była dyabelska, lub nieprzyjaciół książęcych. On pewien był, że omylić się nie mógł.

Zareba, gdy się to działo, zbiegłszy wraz z Nałęczem, już się u swych powinowatych ukrywał.

VIII.

Dziewięć lat upłynęło od ożenienia Przemysława, czasu przeciąg wielki, który też znaczne sprowadził zmiany... Najśmielsze nadzieje, wieszczby prorocze Arcybiskupa się ziściły.

Nie dał Bóg tylko spodziewanego płci męskiej potomka, gdyż — księżna wydała na świat córkę, jej imieniem ochrzczoneą.

Przemysław rósł w potęgę...

Umierający Henryk Ślązki, jakby chciał dawne swe przeniewierstwa nagrodzić, ostatnią wolą odkazał mu Krakowskie i Sandomierskie. Mszczuj pomorski, nie mający potomstwa, oprócz córki nieuznanej, zapisał mu ziemie swoje.

W rękach więc Przemysława skupiła się najznaczniejsza część polskiej ziemi; panem był rozległego kraju, a Świnka naglił i nakłaniał, aby włożył na skronie koronę Chrobrego... Domagała się tego Ryksa, coraz większą nad mężem władzę zdobywająca. Przemysław sam pragnął tego, lecz wahał się i lękał.

Po wszystkich ziemiach chodziła już wieść o tej koronie dla niego przeznaczonej, a Arcybiskup nie mógł go skłonić jeszcze do naznaczenia dnia wielkiego.

Przecucie jakieś złowrogie wstrzymywało go. Nie było ono zupełnie płonnem... Na sam odgłos tego, co Świnka chciał dokonać, nie tylko Brandeburgi, książęta Ślarczy, ale wszyscy posiadacze dzielnic mniejszych zaczęli trwożyć się o nie.

Przyszły król, prędzej lub później, musiał się starać o ich odzyskanie i przyłączenie. Korona Chrobrego innego znaczenia nie miała.

Ze wszystkich jednak, co się przeciwko wznowieniu Królestwa gwałtownie opierać zapowiadali, Ottonowie Brandeburscy byli najzjadlejszymi.

Odgrażano się u nich nie dopuścić korony nowej.

Zarębowie i Nałęcz nosili po wszystkich ziemiach popłoch ten, że przyszły król na zagładę rycerstwa i ziemian berło w rękę pochwyci, że zapanowawszy, wszystko w garść ściśnie, a nikogo do rady wzywać nie będzie.

Łacno tem było poruszyć ziemian, którzy woleli małych i słabych książąt, potrzebujących ich, zmuszonych kupować łaskami, niż jednego silnego pana.

Właśnie Mszczuj, książę Pomorza, zmarł był

w Oliwie, a Przemysław, objawszy Gdańsk, nakazawszy go obwarowywać, wracał do Poznania, gdy jadącemu zabiegł drogę poseł arcybiskupi, zapraszając do Gniezna.

Tu, w starym zameczysku gniazdowem, które Świnka zajmował, ogniskowało się niemal całe Polski życie. On był jego głową, a w ciągu lat ostatnich pracując około uporządkowania spraw kościelnych, zapewnienia praw duchownym, nie spuszczał z oka nigdy korony tej, która była marzeniem jego.

— Koronę podnieść potrzeba, aby jedność przywrócić — powtarzał nieustannie.

Pragnął jej Przemysław, gorąco życzyła Ryksa; obawa tylko poruszenia nieprzyjaciół wstrzymywała.

Dwór arcybiskupi w Gnieźnie nigdy tak świetnym nie był, jak za Jakóba II. Świadom obyczajów europejskich, czując, że świetność zewnętrzna poszanowanie wraża, trzymał dwór niemal królewski, dbając, by on świadczył o sile jego. Nigdy też powaga metropolity w kościele i kraju większą nie była. Biskupi szli razem z nim zgodnie, umiał ich jednać i kierować nimi.

Myśl wydobyć długo w ukryciu przechowywanej korony Chrobrego już z nimi była zgodnie uradzoną. Wszyscy, aż do krakowskiego biskupa, godzili się na to, iż obrzęd uroczysty wedle starych tradycji powinien się odbyć w tem Gnieźnie, które gniazdem było. Przyłączenie Pomorza do posiadłości Przemysława zdawało się najwłaściwszą chwilą do uczynienia tego stanowczego kroku.

Świnka pewien był, iż nie spotka oporu w Rzymie. Korona szła stamtąd i hołdowała Apostolskiej stolicy.

Przemko na wezwanie pośpieszył do Gniezna, które dziś obmurowane, przystrojone, wspanialszem prawie było od Poznania i jednemu tylko Krakowu ustępowało.

Kościół metropolitalny, pałace arcybiskupie, zamek, który liczna zajmowała załoga, równych sobie w Polsce nie miały.

Siła wojskowa, straż przyboczne, dwór Świnki świadczyły o jego zamożności i ładzie, jaki pod rządami jego panował.

Miał swoich pułkowników, tysiączników, setników, jazdę, piechotę zbrojną i odzianą dostatnio — ochmistrzów dworu, podkomorzych, komorników, łowczych, koniuszych, kanclerza i wielką liczbę duchowieństwa, która go zawsze otaczała.

Na żadnym zamku naówczas tyle ruchu i życia nie było. Posłańcy rozbiegali się stąd na wsie strony i zbiegali tu zewsząd. Nigdzie szybciej nie dochodziły wiadomości, znikąd śpieszniej nie rozbiegały się rozkazy.

Dwór, choć po europejsku przyodziany, miał to sobie właściwego i tem od innych się różnił, że był przeważnie polskim. Arcybiskup, który pierwszy nalegał na to, aby kapłani jego świadomości byli języka ludu, oczyszczał z cudzoziemców parafie, kapituły i klasztory.

Jego też otaczali krajowcy, a Niemcy, wciskający się potrosze, zmuszeni byli i mowy się uczyć i zastosowywać do obyczaju.

Za niego dopiero po kościołach szerzej a głośniej odzywać się zaczęło słowo Boże w języku powszechnie zrozumiałym, a w kościele Ś. Wojciecha znowu polskie pieśni śpiewać poczęto.

Pierwszy on zrozumiał, jak potężnem narzędziem był dotąd pogardzany język ludu. Przykład z góry płynący potężnie działał na wszystkich. Do klasztorów, w których najwięcej miesciło się mnichów, nasyłanych z Niemiec, Włochów i Francuzów, przyjmować zaczęto Polaków.

Naówczas po raz pierwszy ozwały się pod kościołami na kazalnicach, do murów przystawianych, te jędrne, dramatyczne, często wesołe, zawsze poruszające kazania mnichów naszych Ś. Fran-

ciszka do braci siermieżnej, jak oni. Niemi ten zakon zdobył sobie miłość powszechną.

Często w nich, sam z ubogiej wyszedłszy chaty, człek prosty a światobliwy odzywał się, tak malując obyczaje, wtajemniczony w nie, iż ludzie, zasromani, wzruszeni, pokrzepieni na duchu, wracali do domów, niosąc złote ziarna.

Oczekiwano w Gnieźnie na Przemysława, gotując się go przyjmować jak zwycięzcę po zajęciu Pomorza i obwarowaniu Gdańska, na który łakome oczy zwracali Brandeburgi, krzyżowi rycerze niemieccy i powinowaci zmarłego Mszczuja.

Królowa Ryksa, wyprzedziwszy męża, tu nań na zamku oczekiwała. Lat dziewięć upłynionych uczyniło ją dojrzałą niewiastą. Nie było to już nieśmiałe dziewczę młode z dziecięcem nieświadomości zuchwalstwem, ale poważna niewiasta w pełni sił, będąca towarzyszką i radą.

Ona teraz posilkowała najdzielniej arcybiskupowi w sprawie korony. Przemysław, jeśli się wahał, to tylko, aby w siły rosnać, pewniejszym był jej utrzymania. On i Świnka, rozumieli to wreszcie, że choćby niedługo miał nosić koronę, dźwignięcie jej i przekazanie jakiemukolwiek następcy przyszłość państwu wróżyło.

Arcybiskup przyjmował księżnę z wystawą książęcą. Duchowieństwo, dwór jego, urzędnicy wysypali się na jej spotkanie.

Zsiadła u drzwi kościoła i tu przyjąwszy błogosławieństwo pasterskie, szła do pałacu arcybiskupa, który równie wspaniale a smakowniej przybrany był, niż dworce poznańskie.

W izbach, w których ją posadzano, ściany całe zawieszane były tkaninami flamskimi, kościercami przedziwnie tkanymi, obrazami z Włoch przywiezionymi, naczyniami okrytymi emalią barwną i drogim kamieniem.

Świnka lubił to, co mu Włochy przypominało i cudzoziemskie dwory pańskie. Nie miał oby-

czajów pieszczonych, ale co oczy ściągając, ducha podnosiło, jako owoc pracy a myślenia ludzkiego cenić umiał. Widział w tem płody cywilizacji chrześcijańskiej, odradzającej świat z barbarzyńskich rumowisk.

Pobożnie, ale zarazem wesoło wyglądały te komnaty, lśniące przedziwnymi ozdoby. Tu ołtarzyk z kości słoniowej, ówdzie świeczniki złociste, obrazy na tłach złotych, kropielnice z alabastrów ubierały ściany.

Księżna rozpatrywała się po izbach, w których wszędzie coś osobliwego ujrzeć było można, a i księgi porozkładane na pulpitych malowaniami oczy porywały. Wtem wszedł arcybiskup.

W nim pod suknią duchownego, do której był już nawykł, znacznym był stary obyczaj rycerski. Trzymał się prosto, patrzył śmiało; siłę, swobodę, wiarę w siebie w każdym widać było ruchu. Szedł, jakby czując posłannictwo mu zwierzone przez Boga.

Nim dla Ryksy i jej dworu stół zastawiono, poczęła się rozmowa.

— Jeżeli nie mylą mnie rachuby moje — rzekł Świnka — książę nasz dziś przybyć powinien.

— Tak jest — odpowiedziała księżna. — Dziś być musi. Znać mnie, ojcze, iż nie jestem trwożliwą, lecz gdyby się opóźnił, niespokojnabym była. Czyhał i łapał Przemysława Henryk. Zagęścił się u nas zwyczaj ten chwytania ludzi i wymagania na nich męczarnią, aby się swoich praw rzekali. Mielśmy tego przykłady. Przemysława, przyszłego króla, lękają się.

— Bóg go zachowa cało! — rzekł arcybiskup.

— Brandeburecy, jak wiecie, odgrażają się nań. Nie śpią Zareby i Nałęcz. Spiskują już lat tyle.

— Najlepszy to dowód, iż nie uczynić nie mogą — przerwał arcybiskup. — Gdyby się czuli na siłach, choć próbować by się ważyli.

— Zarebów i Nałęczów, tych wszystkich precz wywołać należało, a książę ma ich na dworze.

— I tym sposobem ich rozbraja — dodał Świnka.

— Ja nie wierzę im! — dodała Ryksa. — Z oczów ich czytam zdradę.

Księżna pomimo odwagi swej nasłuchiwała ciągle niespokojna.

— Ostatni przykład Henryka Wrocławskiego zawsze mi stoi w pamięci — dodała — choć głucho tylko wiem o tej sprawie.

— Niewesoła to powieść — wtracił stojący blisko kanclerz Wincenty — ale ciekawa.

Księżna, szukająca roztargnienia, zażądała, aby ją opowiedziano.

Kanclerz namyślał się nieco.

— Tak — rzekł — powieść to smutna, ale nauczająca. Ja może lepiej ją znam niż inni. Nie pierwszy to przykład podstępnych napadów i więzień okrutnych, ale do niej wchodzi i historia onego Ludka, warta pamięci.

Kanclerz, pomileczawszy, rozpoczął powoli:

— Bóg da może, iż z tego stanu oplakanego wyjdziemy, ale dziś współzawodnictwo książąt i chciwość posiadłości do czego doszły... potomni wierzyć nie zechcą. Wiadomo wszystkim, jak z sobą żyją słazcy książęta, którym nieeny Rogatka był przykładem. Brat na brata gorzej wilków czyhają.

Henryk Wrocławski i Lignicki, najsilniejszy, był też celem zamachów własnej rodziny, zazdroszczącej mu panowania. Konrad Głogowski, Bolko Świdnicki spiskowali przeciw niemu — Bolko, który sprzymierzeńcowi swemu pomoc przyrzekał, nie dawał nic oprócz przyrzeczeń, coraz tymczasem wyludżając za nie jaki szmat ziemi. To miasteczko, to grodzik, to powiatu kawał zagarnął, nie dając nic.

Ciągnęło się to długo, aż Konrad sobie przy-

pomniął, co robili Rogatka i Henryk starszy... zmiarkował, że najłatwiej zdradą chwycić człowieka, umęczyć go i zmusić, aby ratując życie, oddał bodaj wszystko, co ma.

Na dworze Henryka był zdawna w wielkiem znaczeniu do Rady wzywany, mąż rozumny, Pakosław, rodem z Abdanków, a jak się to trafia, gdy kto w łaskach będąc potrzebnym się czuje, Pakosław nawykł był księcia Henryka samego lekceważyć sobie, a na jego powadze się opierając, z ludźmi poczynać samowolnie.

Miał Pakosław sąsiada, rycerskiego stanu człowieka, Różyca, z którym o znaczną przestrzeń lasów na granicy w sporze byli oddawna. Odgrążał się nań Pakosław długo, mocnym się znając, aż gdy mu jego łąki skoszono, napadł Różyca i zabił.

Morderstwo było jawne, utaić go nie sposób. Zapozwali synowie zabitego mordercę przed księciem. Henryk się tem zgryzł mocno, bo radby był uniknąć karania człowieka, którego miłował, a niesprawiedliwym okazać się nie chciał.

Dumny Pakosław tak pewnym był, iż mu się nie stać nie może — że z synami zabitego o głowę układać się nie chciał.

Nadszedł dzień sądu. Przynieśli ciało synowie z płaczem, narzekaniem, całym rodem idąc, przy wielkiem zbiegowisku ludu. Morderstwo było jawne.

Pozwany Pakosław stanął zuchwale przed księciem i ufając sobie, rzekł:

— Tak, jest, zabiłem zuchwałego ziemianina, nie zapieram się — zabiłem go.

Krzyk zaraz podniesiono, domagając się sprawiedliwości. Ta inaczej wypaść nie mogła, tylko głowa za głowę. Wielce zafrasowany książę, przywołał Pakosława do siebie i rzekł mu:

— Naradź się ze swymi, sprawę zagodź, albo tłómacz się inaczej.

Wyszedł potem z sądu, dając czas obwinionemu. Ten, wcale z zuchwalstwa swego nie ustępując, pewien tego, że u boku księcia wysokie stanowisko zajmował, a był wyższym nad prawo, zapytany powtórnie — odezwał się:

— Zabiłem go... nie zapieram się.

Ks. Henryk popadł w gniew wielki, bo wyzywał go niemal — i rzekł mu:

— Nierozumny czlecze, oszalałeś chyba! Własnymi usty wydajesz na siebie wyrok śmierci. Odejdź precz stąd. Ostrzegam cię po raz ostatni, ocal żywot własny. Otrzeźwij, wróć do rozumu, inaczej zmusisz mnie, że zamiast panem łaskawym, będąc sprawiedliwym sędzią.

Pakosław, jakby istotnie zmysły postradał, ufając jeszcze, iż książę nań wyroku wydać nie może, pomimo przestrogi — powtarzał ciągle:

— Zabiłem, więc zabiłem!

Nie można było wymódlz na nim, aby tę mowę płochą odmienił. Rodzina zabitego nalegała, dwór i lud patrzył na to; przebaczyć i pobłażać nie było w mocy księcia.

Dał znak. Wyprowadzono Pakosława wschodami w podwórze Lignickiego zamku i tam go wobec wszystkich ścięto. Do ostatniej chwili urągał się i szydził.

Książę, który kochał go bardzo i nawykł do niego, po śmierci człowieka, który przyjacielem mu był, utulić się nie mógł z żalości. Synka jedynaka, sierotkę Ludwika, wziął, jak własne dziecko, na wychowanie, trzymając przy sobie i obsypując łaskami.

Dziecko to, które na śmierć ojca patrzyło i potajemnie chustę we krwi jego zmoczywszy, nosiło ją zawsze na piersi — poprzysięgło zemstę księciu. Wiedzieli o tem niektórzy na dworze i ostrzegali pana, aby nie trzymał przy sobie niebezpiecznego wyrostka.

Książę słuchać ich nie chciał, wierzyć nie chciał,

starał się owszem coraz większą ujmować go dobrocią. Naostatek, gdy nalegać poczęto, żeby był od dworu usunięty, książę szczerze i otwarcie się z nim rozmówił, okazując mu, że ojciec jego sam śmierci swej był przyczyną, a on, choć chciał ocalić go, nie mógł. Dał mu tedy do dwóch miesięcy czas, aby się namyślał i — albo się wyrzekł zemsty za śmierć rodzica, lub się oddalił od dworu.

Po dwóch miesiącach Ludek przyszedł, oświadczając publicznie, że wie, iż ojciec jego sprawiedliwie był ukarany, poprzysięgając uroczyście na krzyż i ewangelię, iż śmierci ojca słowem ni czynem, jawnie ani potajemnie, nigdy w żaden sposób nawet nie przypomni, nie będzie się użalać, ani zemsty szukać za nią. Prosił księcia, aby nieufności przeciw niemu zaniechał, ofiarując mu się służyć wiernie.

Książę, który go kochał, rozplakał się, uścił go i zapewnił, że w nim znajdzie drugiego ojca, a on i cały ród jego wdzięczność winni mu będą.

Od tej chwili, jak dawniej Pakosław, tak teraz Ludek w nadzwyczajnych był łaskach. Nieodstępnie księciu towarzyszył, a dwór mu cały zazdrościł, bo go nad innych pan przenosił i nadzwyczajnie obdarzał.

W duszy jednak dziecka pamięć ojca zawsze żywą była — i chusty krwawej z piersi nie zrzucił.

Stało się, że Konrad Głogowski, wiedząc o tem, postarał się zbliżyć do niego. Zaraz za pierwszym razem napomknął mu o ojcu, dziwiąc się, iż służyć mógł panu, który winien był śmierci jego, że nie starał się jej pomścić.

Tak powoli dawne pragnienie zemsty w nim rozżarzył, że Ludek, zmówiwszy się z Konradem, uknuł napaść na pana swego. Wywiódł go do kąpieli nad Odrą blisko Wrocławia, gdzie już ludzie w zaroślach nastawieni czekali. Dworzanie księcia, domyślając się już czegoś, a podejrzewa-

jąc Ludka, ostrzegali w czas, aby z nim nie jechał. Na co im śmiejąc się odpowiedział:

— Możecie być spokojni, Ludka pewien jestem, ani się go nie boję!

Tu księcia w łaźni rozebranego, Ludek, dawszy hasło, napadł, a gdy czeladź przestraszona się rozbiegła i jeden tylko wierny dworzanin go bronił, którego skłuto i na śmierć zarąbano — porwano nagiego księcia, wsadzono na koń, ledwie mu lachman jakiś dawszy do okrycia, i popędzono z nim dniem i nocą do zamku Sandwocia, gdzie Ludek niepoczeiwy oddał go Konradowi. Stąd odesłano nieszczęśliwego do warowniejszego Głogowa na straszną męczarnię, której wierzyć trudno, ażeby się mógł dopuścić blizki powinowaty, gdyby ludzie na oczy jej nie widzieli, a ofiara nie przypłaciła życiem.

Ponieważ Henryk wielkiego ducha był i na nie przystać nie chciał, nie dosyć, że go okuto w kajdany, że go wrzucono do smrodliwego lochu, ale zamknięto go w umyślnie zrobionej klatce, w której otwór był tylko, przez który mu nędzną podawano strawę, tak, że nie mógł ani leżeć, ani stać i jakby zawieszony w niej, poruszyć się nie mogąc, z boleści jęczał dnie i noce.

Pomimo tej katuszy nie dawał się Henryk złamać, nadaremnie na nim wymódz chciano ustępstwa, trwał w swoim. Raczej umrzeć niż się poddać.

Pół roku chodzili doń Konradowi kaci urągając się, pytając, czy już ma dosyć; odpowiadał im kłótwami i łajaniem. Nareszcie siły tracić zaczął, ciało całe okryło się ranami, boleści znosił męczeńskie, życie zdawało się uchodzić — i zgodził się na wszystko, czego żądano. Okup cały skarb jego wyczerpał, bo trzydzieści tysięcy grzywien wynosił i ziemi musiał dodać wiele. Konrad nie dowierzał, czy mu zapłacą, kazał więc sobie liczyć pieniądze na środku mostu na rzece Czarnej pod Lignicą i dopiero go wypuścił.

Gdy klatkę otworzono i puszczone z niej nie-szczęśliwego, ani stać o swej sile, ani chodzić już nie mógł. Zaniesiono go na wóz, wysłany chustami, i pół żywego odwieziono do Wrocławia.

— I więcej już zdrowia nie odzyskał! — dodał arcybiskup. — To jeden tylko straszny przykład tego, co się tu dzieje na ziemi naszej, a jest podobnych niemało i położyć temu koniec może tylko jedno królestwo niepodzielne, jeden pan, któremu by wszyscy ulegali. Tak chciał mieć ów Krzywousty, którego myśli nie zrozumiano, czy spełnić nie chciano. A gdy raz dzielić poczęto, przyszło do tego, iż się ludzie zabijają i krwią oblewają dla kawałka ziemi.

— Nie dziwujcież się, trwożną mnie widząc — dodała księżna. — Dziś wszyscy zastraszeni koroną, swoi i obcy czyhają na niego.

— Swoich i obcych z Bożą pomocą pokonamy — rzekł arcybiskup spokojnie. — Widomym znakiem woli Bożej będzie korona Chrobrego, której blask wrogów rozproszy.

To mówiąc, Świnka przeżegnał stronę, z której się księcia spodziewano, i Ryksie kazał być dobrej myśli.

Wysłano gońców, aby się dowiedzieć o wracającym i nazajutrz zbliżanie się jego oznajmiono.

IX.

Przemysław śpieszył z powrotem i miał już do Gniezna jeden tylko dzień podróży, naprzód bowiem wyznaczono popasy i noclegi, na których go ziemianie oczekiwali, gdy w jednej ze wsi, już na własnej ziemi, znalazł niespodzianie większą liczbę rycerstwa okolicznego, jakiego się tu nie spodziewał.

Przyjmowano go z radością wielką, bo to

byli najwierniejsi jego ziemianie, ci właśnie, co dlań Ołobok odzyskali, starzy towarzysze Bolesława Pobożnego i Przemysława ojca.

Nim zsiadł, niektórzy go już na koniu jadącego w kolana całowali, czapki podrzucali, wykrzykiwali go księciem polskim i pomorskim. A że wioska do jednego z nich należała, starego Gozdawy, i on, i ród, i powinowaci, i przyjaciele zastępowali drogę panu.

Ludziska byli dobrzy, serdeczni, do pana po swojemu przywiązani.

I księciu serce się otworzyło na widok tych twarzy rozweselonych, rąk powyciąganych, ust, uśmiechających się do niego.

Dla pana i dla dworu stały już gotowe stoły, beczki na krzyżowych nogach i czego dusza mogła zapragnąć. Osobny namiot rozbito dla księcia, pod który zaproszono go dla spoczynku. Tu, oprócz Tyszka Gozdawy, całe grono starszych otoczyło go z miłością wielką.

Winszowano mu Pomorza, życzo no żywota długiego, spodziewano się doczekać męskiego potomka.

Wśród tych życzeń i powinszowań łatwo jednak poznać było, że im coś na sercu leżało, z czym się odkryć nie śmieli, poglądając po sobie, odkładając, wahając się.

Dopiero, gdy już misy zdjęto, a kubki z miodem dolewano, który lepiej niż piwo głowy zawracał i męstwa dodawał (dla czego ojciec Przemysława nigdy miodu nie pijał), wystąpił Tyszko, sam pijąc zdrowie państwa i długi żywot jego a szczęśliwe panowanie.

— Miłościwy panie nasz! — odezwał się wesół — myśmy tu, dzieci twoje, drogę ci zastąpili, aby obliczem się twem pocieszyć, winszować ci, życzyć... ale jako dzieciom, pozwól odezwać się szczerem słowem.

— Wolność to przecie było zawsze każdemu,

cóż dopiero wam, stary mój! — rzekł Przemysław, bijąc go po ramieniu.

— Ciężko mi się to z gardła dobiedzie — odezwał się Gozdawa — ale kiedy trzeba, to mus. Wiemy to, miłościwy panie, że Was arcypasterz nasz do korony i królestwa prowadzi i że Wy jej godni jesteście — ale ludziom serca drżą obawą. Korona Wam da wielkość, ale ona nieprzyjaciół i zazdrosnych ściągnie. Panuj ty nam, jakoś jest możliwym księciem, my cię i tak za króla sobie mamy — a nie wyzywaj złych i zawistnych.

Przemysław słuchał z powagą wielką, lice mu się zachmurzyło.

Miał to w naturze swej, co wielu jemu podobnych, iż właśnie gotów był tego najgoręcej pragnąć, co wzbronionem było lub się trudnem okazywało. Tak pierwszy raz korony zażądał, w więzieniu siedząc, a teraz, gdy przed chwilą wahał się, czy jej miał się dobijać — obawa drugich jemu dodawała męstwa.

Gozdawa osłodził, jak mógł, to, co wiedział, iż gorzkiem się wyda.

— Kochany ojciec nasz — dodał — mybyśmy ci nie jedną, a dziesięć koron przynieść radzi, ale wielkość niezawsze daje szczęście i moc, a zawsze ludzi w oczy kole. Już niepoczcwi ci Zarębowie i Nałęcz po kraju biegają a noszą, że ty nam nie ojcem chcesz być, ale panem surowym, i że korona dla ciebie, dla nas znaczy kajdany. Nie wierzym my w to, ale płochy lud a warchoły się burzą. Mała to rzecz, bo nas więcej, cośmy tobie wierni i złych zmożemy, ale Brandeburgi, Ślązaki, a wreszcie i ów Łoktek, co się z Czechem rozbija, niespokojny mały człeczek silnej dłoni i ducha — wszystko to się korony przełęknie. My się o Was, miłościwy panie, trwożymy, bo cię kochamy.

— A! — przerwał wesoło Przemysław, zwracając się do Tyszka — ja nie mam trwogi! Ojciec nasz, Świnka, chce korony tej dla spokoju i dla

mocy jednej — ja jej nie sobie pragnę, ale ziemiom tym rozerwanym i bolejącym. Wierzcie, że korona nie zmieni mnie. Jakim byłem, takim zostanę, a bez Rady, comesów moich i baronów przyczynienia się, nie będę stanowił nic. Dla ziemian ojcem będę zawsze... Że wrogowie poczują trwogę, dobrze jest! Przyjdzie z nimi wojować — tego chcę! Na to miecz i pas rycerski noszę! Złego mi się nie stanie nic bez woli Bożej, a co wola Boża, tego nie ujdzie nikt!

Gozdawa zamilkł; wysunął się Antek Porajta, niemłody też, bo wnuki miał dorosłe.

— Spomniał brat Tyszko o Zarębach, miłościwy panie — odezwał się — my ich znamy: ludzie są źli a możni. Macie-li ich co na dworze, albo i Nałęczów, każcie im precz iść.

Nie zważał pewnie na to Poraj, że Nałęcz, którego Krzyżem zwano, bo miał z wojny na licu bliznę czerwoną, gdyby krzyż, stał tuż. Ten zerwał się oburzony.

— Za co nas wszystkich zdrajcami za jednego robicie? Jam ci też Nałęczowego zawołania i z tych co krwawą chustę na szczycie mają, nie białą — alem panu wierny i nie dopuszczę, aby nam w oczy plwano.

Zaczęto się burzyć, bo pod namiotem Nałęczów i Zarębów nawet było dosyć, a wszyscy się jeli za swoją cześć ujmować, aż ksiązę musiał milczenie nakazać i rzekł:

— Ja wierność waszą znam i nie podejrzewam; ale i tym, co koło mojego bezpieczeństwa stoją, za złe ich troski wziąć nie mogę. Milczcie więc, gdy ja nie obwiniam.

Lecz nie łatwo było uspokoić rozdrażnionych, a Poraj dołożył jeszcze:

— Tak ci to Ludek, Pakosławowy syn, przysięgał, że za ojca się mścić nie będzie, a przecież Henryka na męki zdał...

I zakończył głośno:

— Za złe nam nie miejcie, miłościwy panie, że my się korony obawiamy, aby ona, jak Zbawicielowi Panu, cierniową nie była. Tyś nam w książce czarce królem.

Drudzy poczęli wołać, aby zdrów był i panował im łaskawie, na co książę, kłaniając się, kubkiem wkoło wodząc i przepijając, odpowiadał rad bardzo.

Wszczął się rozhovor poufalszy a weselszy, bo ludzie się z sobą wprędce jednać zaczęli, a w duszy Przemysława stało się to, czego pewnie ani on, ani się nikt nie spodział: wstąpiło w nią męstwo, wielka ochota do korony, gotowość ważenia się na wszystko, aby jej dostać.

Gwarzono tak, gdy około namiotu, w którym siedział książę, zamieszanie się jakieś wszczęło i gwar... W dali gromadny tentent koni słychać było.

Popas ten przy dobrej myśli przeciągnął się nad miarę; wieczór nadechodził, a do noclegu ciągnąć daleko było i już tu myślano pozostać, choćby się opóźnić do Gniezna.

Wyjrżeli siedzący w namiocie, co tam zaszumiało, i spostrzegli w dali jeszcze na gościńcu spory oddział jazdy, który ku obozowi pośpieszał.

Stawała ta gromadka, rozpytywała po drodze i zbliżała się do namiotu. Nikt nie mógł zgadnąć jeszcze — swoi to byli, czy cudzy. Obawy żadnej mieć nie było o co, bo kupka niewielka szła — nie wiadomo tylko, z kim i po co?

Gdy się tak od namiotu rozpytywano, rękami od zorzy zachodniej zasłaniając, a dobadać się nie mogąc — jezdni zbliżyli się tuż. Część ich została w tyle, a jeden na koniu wyrwał się przodem i wprost pod sam namiot książęcy podjechał.

Ci, co go choć raz w życiu widzieli, łatwo poznać mogli, bo do pospolitego rycerstwa wcale nie był podobny, a wśród stu drugiego takiego wyszukać było trudno. Wzrostu bardzo małego,

krzepki jednak i silny, koniem władający, jakby olbrzymem był, czelczek ten z twarzy marsowato wyglądał, a oczy miał, jak dwa węgliki rozpalone.

Na nim kaftan, zbroja, suknia, pas, hełm wcale były niepoczesne, potłuczone, stare. Mimo to leżały jakoś dobrze i mały pan miał zuchwałą postawę.

Sama twarz za człowieka i za wzrost stała. Oczy bystre, czoło wypukłe, nos rzymski, usta małe, choć nie pięknym, czyniły go takim, że kto nań raz popatrzał, nigdy nie zapomniiał tego oblicza.

Ramiona trochę podnosił do góry, jakby się chciał większym uczynić, niż był, a był, jak na rycerza, małeńki bardzo; ale za to ręce, jak żelazne, koniem miotały, nogi obejmowały go, jak kleszcze. Pod nim szkapa była niezbyt rosła, gruba, mocna, piersista, z grzywą długą, z nóżkami cienkimi, tak żwawa, jak i pan, co na niej siedział. Okurzony przybywał, zbryzgany, i jakby z długiej podróży, z której życie i męstwo tryskało.

Wkoło zaraz wszyscy powtarzać zaczęli:

— Łoktek! Łoktek!

Tak przezywano Kujawskiego księcia, który pod ten czas właśnie z Waławem Czeskim bił się do upadłego, pożyć mu się nie dając. Znali się oni z Przemysławem, jako powinowaci blizcy, a Łoktek za żonę miał Jadwigę, Bolesława Pobożnego córkę, którą Przemysław jak rodzoną córkę miał i kochał.

Dawniej i oni miłowali się wielce — ale teraz? Przemysław ruchawego Łoktka lękał się, aby mu do korony nie mącił.

Nie widzieli się dawno i nie spotykali, bo Łoktek prawie od dziecka wojował i dobijał się władzy, a jak mały był, tak niezmordowany i niepokonany.

Skąd się tu teraz wziął, domysleć się trudno było. Zdumiał się książę, zobaczywszy go, wiedząc, że pokoju z Czechem nie miał. To go

gnał, to przed nim uchodził, nie ustając na chwilę.

Spojrzeni na się: uśmiechnął się jakoś dziwnie Łoktek; skoczył potem z konia, a gdy na ziemi stanął, aż śmieszno było, tak się maleńkim wśród tego rycerstwa wydawał.

Podali sobie ręce, dobrze patrząc w oczy.

— Gościem mi jesteś nieczekany! — odezwał się Przemysław.

— Nie z dobrej woli — jędnym głosem, żywo odparł Łoktek. — Tatarzy bestye znowu Sandomierskie plądrują... poganie przekłeci! Włóczę się, zbierając ludzi. Zasłyszałem, że od Pomorza ciągniecie, zbiegłem, aby się pożalić z dolą moją. Mało mi było Czechów, Bóg zesłał Mongołów... tej naszej biednej ziemi pokoju nigdy.

Weszli pod namiot razem. Twarz Przemysława oblokła się jakby cieniem; dumy trochę i zazdrości nieco czytać z niej było można, miłości mało lub nie. Mały ten człeczek mu zawadzał.

Łoktek, jak był z drogi spragniony, nie pytając, pierwszy kubek nalany schwytał i wypił. Zdjął żelazny helm ze skroni i czoło z potu począł ocierać. Przemysław patrzył nań posępnie.

Ten już w namiocie, jak u siebie w domu gospodarzył: ławkę pod siebie podsunął, uczeplił się na niej, jak na koniu, do chleba sięgnął i kawał go sobie ukroił.

Książę skinał, aby strawę jaką przyniesiono.

— Srogoż tam pustoszą Tatarowie? — spytał.

— Wedle obyczaju swego! palą i niszczą a młodzień gnają kupami. Gdyby mi gdzie Czechów pochwytili i potłukli... ale... nie! Ci w Krakowskie ujdą, a dziec ta gonić za nimi nie będzie! O, Sandomierz! Sandomierz! biedne miasto — tego nigdy nie miną! A co wsi poszło w perzynie!

Podniósł twarz, na której gniew się napiętnował straszny.

— Płakaćbym powinien — dodał — ale tego nie

umiem. Zły jestem, zacinam sobie znaki, ile zemsty komu winien będę! Powoli popłacę moje długi.

Popatrzał na chłodno milczącego Przemysława, jakby go badał; ten wzajem ściganemu przez Czechów i Tatarów rycerzowi małemu, który w niedoli męstwo całe zachował — przyglądał się nieco zdumiony.

Po małym przestanku Łoktek dorzucił:

— Wiecież, pocom ja gnał za wami?

— Skądże mam wiedzieć? — sucho odparł książę.

— Pomyślałem sobie — rzekł Łoktek — że ty pokój masz, ludzi wiele karmisz darmo, mógłbyś mi pomóc nimi. Po Tatarach żołnierza mi będzie trudno dostać, a Czechów pobiwszy, dobijać trzeba, aby im smak od naszej ziemi odszedł.

Przemysław potrząsł głową; widać było, że prośbie nie myśli zadość uczynić.

— Mówicie, że ja pokój mam? — odparł powoli. — Właśnie taki, jak i ty, a większego kraju bronić muszę... Brandeburczyki czekają tylko, aby mnie słabszym zobaczyli..., ze Ślązkimi mam rachunki, w Pomorzu i od Ranskiego księcia i od Krzyżaków muszę się mieć na pieczy. Gdyby mi kto pomoc dał, przyjąłbym ją!

Łoktek zdał się słuchać dosyć obojętnie.

— U ciebie wojny niema jeszcze — odparł — a jam swoją począł, no! i nie skończę jej, aż wszystkich pokonam! Płotło się różnie ze mną; co mi Bóg gotuje, nie wiem, ale zmódz się nie dam nikomu, ani nastraszyć! Małym mnie Pan Bóg stworzył, muszę się wielkim stać sam!

Rozśmiał się. To «muszę» wyrzekł z taką siłą, iż Przemysławowi mimowoli podniosły się ramiona. Zuchwalstwo to budziło w nim zazdrość.

— Trudno z Bogiem wojować! — szepnął trochę szydersko.

— Ja też nie z nim, a z ludźmi się ucieram —

rzekł Łoktek. — Za dużo u nas obcych, za dużo! Rozpostarli się i zagarniają coraz więcej. Mazowieccy nasi bracia sami najgorszemu wrogowi wrota otwarli, a jeszcze go na własną krew prosili w goście! Rozsiadają się Brandeburgi, wparł się Czech bezprawnie; na wsze strony opędzać się trzeba.

Pomilczał trochę zamyślony i w stół uderzył.

— Nie damy się! Bóg łaskaw!

Mówiąc to, jadł żywo i żarłocznie, jak głodny, nie dbający o to, czem się posili.

Widać w nim było zaprzątnięcie myślami wielkimi a lekceważenie reszty. Obok Przemysława, uzbrojonego i odzianego wytwornie, ten ze stroju i oręża ledwie się prostym ciurą zdawał. Na szyzaku nie miał nic, zbroję prostą, poczerniałą, na której ślady razów od mieczów i kopii widać było, suknię z grubej tkaniny, płaszcz barwy ciemnej, miecz w żelazo oprawny. Wszystko to trwałe było, mocne, a jak on, nie bijące w oczy.

Przemysław ze swym wzrostem, postawą książęcą, suknią, oszywaną pasem złożonym, zbroją rysowaną i szmelcowaną — gasił go pozornie. Łoktek mały, niepoczesny, miał życia więcej.

W czasie rozmowy Gozdawa i inni ziemianie za namiot się wysunęli, zostawując ich samych.

Łoktek, wprędce głód zaspokoiwszy i przagnienie, usta otarł, przeżegnał się i zwrócił ku Przemysławowi.

Błysnęły mu oczy dziwnie.

— Co prawia ludzie — rzekł — prawda-li to, że wam Świnka chce koronę dać?

Trochę ironii było w głosie jego. Przemysław odprostował się dumnie.

— Czemużby nie? — odparł powoli. — Część wielką dawnego państwa Chrobrego mam pod sobą... a resztę...

— Cóż my naówczas pocniemy? — rzekł mały książę.

Zamienili spojrzenie.

— Włożyć koronę — dodał — nie takci to trudno... ale nosić!

Przemysław czoło uniósł ku górze, nie chciał odpowiadać już.

— Postarajcie się o następcę — dodał mały — a jakby go nie stało wam, przekażcie mnie...

Rozśmiał się. Przemysław chmurzył się coraz więcej.

— Tak — rzekł. — Syna dotąd nie dał mi Bóg. Córka jedna... Od lat siedmiu nie mam potomstwa...

Na tem przerwała się rozmowa, oczyma się tylko mierzyli, sparty na ręku Łoktek dumał.

— Próżnom więc za wami gonił — rzekł, jakby sam do siebie. — Wiem już, że ludzi mi nie dacie. Pójdę ich zbierać po jednym! Ciężkie to życie, alem ja, jak wy, do pieszczonego nie nawykł, spoczynku nie lubię; znoszę, jak prosty chłop: głód, chłód, trud, wszystko, byle na swoim postawić. Mnie gdyby z miękkim łóżem, w kobiercami wysłanej komnacie, choćby z najpiękniejszą dziewczką zamknięto na dłużej jak na dobę, przez dach bym się wydarł, takby mi próznica prędko zmierzła!

I śmiał się swawolnie.

— Nie pogardzam ja, jak ty, dziewczyną hożą, choćby, jak Mszczujowa, z klasztoru wziętą, a na długo przy kądzieli nawet i podwice gnuśnieć bym nie mógł. Ruszać się bo muszę!

Na wspomnienie to swawolne Przemysław się namarszczył. Od śmierci Lukierdy, od małżeństwa z Ryksą na żadną niewiastę spojrzeć się nie ważył. Rozmowa o tem przykrą mu była. Rozwiązyły podówczas Łoktek chmurę tę na twarzy księcia zrozumiał i zamilkł.

— Tyś się, widzę — dorzucił po chwili — cnotliwym bardzo stał i Pudyka chcesz naśladować... czemu nie? I jaby tak rad być, ale poczekawszy...

Rozśmiał się znowu, z ławy zeskokczył, chodząc poczał, jakby wcale jazda go nie utrudziła.

Po namiocie się kręcił, coraz coś chwytając i przypatrując się wytwornej broni i zbroi.

Noc nadeszła, musieli oba pod jednym ją przebyć namiotem.

Łoktek oznajmił, że dla ludzi i koni noc musi dać na spoczynek, ale do dnia nazad ruszy, aby nowe robić zaciągi, gdy mu nikt w pomoc przyjść nie chce.

Z wesołą myślą i daleko swobodniejszy od Przemysława, który ani pobitym był, ani mu kraju Tatarowie nie pustoszyli, leżał Łoktek spać, opończą się owinawszy i nakazując zbudzić się o brzasku.

Przemysław też ze dniem wyruszyć miał w dalszą drogę.

Gdy się zrana obudził, towarzysza swojego nie znalazł już w namiocie, ślad tylko, kędy spoczywał. Opowiadano, że o świcie, spać już nie mogąc, czekać nie chcąc, wymknął się do swoich i puścił ku lasom.

Żegnany przez ziemian okrzykami, księżę ze słońcem dopiero ruszył ku Gnieźnie.

Podróż tę jednak rozmaite przeszkody, jakby umyślnie, opóźniały.

Towarzyszący mu wojewoda poznański, który panu o tem nic nie mówiąc, zasadzki się obawiał, gdy dnia tego las, zwany Czarnym, gęsty a niebezpieczny do przebycia, przejeżdżać mieli, przodem wysłał ludzi, aby drogę opatrzyli. Zbytnią ta ostrożność, z której się śmielsi naśmiewali, okazała się jednak potrzebną.

Wysłani przodem powrócili z wiadomością, iż u brodu i trzęsawic w lesie zaczajoną była kupa zbrojna. O ile poznać mogli, zdawała się złożoną z Brandeburskich Sasów, z Zarebów i Nałęczów, w znacznej liczbie przy nich będących.

Zatrzymano się, radząc, co czynić. Sił tej zasadzki w gęstym lesie obliczyć nie było można, ale hełmów i kopii sterczyło dosyć w zaroślach. Chciał Przemysław iść, uderzyć na nich albo z bo-

ku ich zająć, lecz trzęsawiska i moczary nie dopuszczały przystępu.

W lesie, gdzie i drzewa mogły być poobalane i zasieki przygotowane, rozpoczynać walkę ścisniętym nie zdało się bezpiecznie. Wojewoda radził zasadzkę obejść dłuższą drogą, a później, jeśliby nie uszła, osaczyć ją z większą siłą.

Przemysław chciał przebojem iść, wstydząc się tej ucieczki, niebardzo nawet wierzył w doniesienie... Rycerstwo skłoniło go, że poszedł za radą wojewody.

Po długich targach ruszono dobrze w lewo, kołując i nakładając drogi, brzegiem jezior i piaskami. Przemysław w ten sposób, zamiast o południu, zaledwie na noc mógł stanąć w Gnieźnie, gdzie nań niespokojnie oczekiwano.

Świnka wyszedł naprzeciw niego do przedsienu, gdzie stała Ryksa z córeczką, którą umyślnie do ojca wyprowadziła. Była to jednaczka, tym samym losu trafem, który matce jej dał rysy Lukierdy, jeszcze większe do męczennicy mającą podobieństwo: jej nawet naturę trwożliwą, milezącą i smutną.

Z twarzą, którą starał się uczynić wesołą, Arcybiskup o zasadzce już uwiadomiony, wprowadził do komnat księcia. Nie mówił on sam nic o niej, gdyż w drodze rozmyślając, przyszedł do przekonania, iż u stracha wielkie oczy i dwór jego więcej widział, niż było.

Kupka jakaś zbłąkanych włóczęgów mogła być za nieprzyjaciół wzięta. Okazało się jednak, iż było inaczej. Wojewoda, zabrawszy ludzi, nocą pobiegł na to miejsce, w którem widziano zasadzkę. Znienacka napadnięci Brandeburczycy, posadzając Zarebów o zdradę, poszli zaraz w rozsypkę.

Wojewodzie, który się głównie na Zarebów i Nałęczów kusił, udało się ich dwu pochwycić, i tych, na koniach twarzami do ogonów poprzy-

wiązywanych, wieczorem przywieziono do Gniezna.

Krótkim sądem pochwyconych na gorącym uczynku zdrady i posilkowania nieprzyjacielowi Przemysław ściąć kazął.

Zaledwie się to stało, gdy reszta Zarębów i Nałęczów, która przy boku pana była jeszcze — ci właśnie, co na popasie w Woli wierność poprzysięgali — następnej nocy zeszła precz, tak że z tego rodzaju nikt nie pozostał.

Powstało stąd zamieszanie chwilowe i niepokój między ludźmi, lecz wojewoda powagą swą go przytłumił. Arcybiskup i książę cieszyli się owszem, że podejrzanych się pozbyto.

Świnka tymczasem, ziemian okolicznych zwoławszy, starszyznę z Kalisza i Poznania, duchowieństwo, na którego czele stanął, do stanowczego zniewolił kroku.

Ryksa wiedziała o tych przygotowaniach, domyślał się ich zapewne książę.

Wielka izba na zamku dnia tego była natłoczona, komnaty sąsiednie i ganki ziemian pełne, których wojewodowie i kasztelanowie prowadzili. Wszyscy urzędnicy ziemscy, dworscy, Arcybiskup i biskup poznański, kapituły, duchowieństwo, oczekiwały na Przemysława.

Na przedzie, w szatach uroczystych, Świnka z krzyżem w ręku witał wchodzącego pana. Wskazał na poważne zgromadzenie i ozwał się:

— Miłościwy książę! oto cały lud twój i ja, jako ojciec duchowny ziem twoich, przychodzimy jednogłośnie głośnie prosić cię i wezwać, abyś dłużej nie zwlekał z przyjęciem królewskiej korony, która ci z prawa należy. Wdziej ją na skronie twe i niech ci ona da nową siłę, abyś nam w pokoju panował i rządził. Przypasz miecz, przedkowi twemu przyniesiony przez anioła, abyś nim zwycięsko nieprzyjaciół wojował.

Tu, na dany znak przez arcybiskupa, ozwały się okrzyki wielkie i wywoływania. Podnoszono

ręce, rzucano czapki, uniesienie ogarniało tych nawet, co chłodni lub wahający się przyszli. Poruszyły się serca, otwarły usta, jakaś nadzieja wielka wstąpiła w nie, jakby korona ta, z grobów i mroków dobyta, potęgę z sobą przynieść miała.

Stał książę milczący, poruszony, blady, Ryksa dumna i wesoło spoglądająca.

Poczęła się cisza starszyzna, otaczając pana, a on też, zagrzany miłością, którą mu okazywano, podniósł raźniej czoło.

— Stanie się więc po woli ojca naszego Jakóba i was wszystkich. Nie czuję się ja godniejszym korony tej od pobożnej pamięci rodzica mojego, od tych, co mnie poprzedzili — ale palec w tem widzę Boży...

Uściśnął go arcybiskup, okrzyki się podniosły znowu po izbach, dalej w podwórcach, w których dużo ludu zgromadzonego było. Ten, wniósł wszystkich nie mogąc, szeroko się tu rozkładał. Postawieni już wprzód fleciści i trębacze, zaczęli wygrywać wesoło.

Stała się radość jakaś wielka, jakiej ludzie nie pamiętali, a oczów wiele zaszło łzami.

Wtem arcybiskup, Bogu na podziękowanie, do kościoła już wiódł, gdy duchowieństwo zanuciło hymn — i tak owo królem okrzyknięcie uroczystym aktem kościelnym się skończyło.

* * *

Gdy wszyscy do katedry ciągnęli, na wałach, w tem miejscu, gdzie dwu zdrajców świeżo stracono, stali dwaj ubogo ubrani ludzie, z twarzami bladymi, smutni, przypatrując się zdaleka.

Michnie usta złem szyderstwem drgały, Pawłek był groźnie namarszczony.

— Przysięgam ci, przysięgam! — mruczał Zaręba — krótka to będzie radość, a skończy się kąpielą krwawą... Nasza krew i niewinnej pani Lukierdy pomszczoną zostanie!

Chwycił ręką garść mokrej ziemi i ścisnął ją, jakby z niej krew, co ją zboczyła, chciał wydobyć, łzami zaszczyły mu powieki.

— Cieszcie się i tryumfujcie! — wołał — pomsta Boża nie śpi! Szyję dam, cześć dam, nie ja jeden, wszyscy my, a pani zamordowana i bracia nasi będą zemścić się!

Z kościoła rozchodziła się pieśń głośna, wesoła, a Zaręba, jak nieprzytomny z szału, powtarzał ciągle:

— Będą pomszczeni!

Przecisnęli się potem niepostrzeżeni przez tłumy, wyszli za wrota, dosiedli koni, w malej szopce zostawionych, i manowcami pociągnęli ku lasom.

Tegoż dnia postanowiono, że w dzień Świętych Piotra i Pawła obrzęd koronacyjny odbyć się miał w Gnieźnie, dokąd biskupi z całej Polski zjechać mieli.

X.

Piękny był ów dzień 26 Czerwca 1295 roku, gdy wiosennego poranka niezliczonym tłumem ziemian, ze wszystkich polskich krajów i z Pomorza przybyłym, okryły się nie tylko podwórcy zamkowe, wały, podwala, ale okolice, na których obozy i namioty legły niezliczone.

Starał się o to stróż i opiekun starej korony, Świnka, aby uroczystość, która po tak długich latach wznowić miała pogrzebiony w krwi św. Stanisława majestat królewski — świetną była a głośną.

Zwołał więc wszystkich biskupów, którzy przybyć mogli: Jana z Poznania, Jana Romkę z Wrocławia, Gosława z Płocka, Konrada nawet Lubuskiego, a ci, co jak Krakowski i Wrocławski, sami się stawić nie mogli, piśmiennie oświadczyli zgodę swoją.

Z Pomorza mniodzy panowie, wysłańcy miast przedniejszych, urzędnicy, rycerstwo — pomnażało świetną gromadę, która miała być świadkiem tych odrodzin królestwa...

— Zaprawdę — odpowiadał Świnka tym, co go niebezpieczeństwy od korony odstraszać chcieli — zaprawdę nie o króla tu idzie, bo każdy z nich śmiertelnym jest, ale o koronę, która być nieśmiertelną powinna.

Ta korona, która długo utajoną była w skarbcu kościoła i razem z drogiem ciałem św. Wojciecha chroniona jako talizman święty — leżała teraz na wezglowiu nanowo z kurzu otarta, w swej starodawnej prostocie, grubemi obręczami złotymi przypominając wieki, gdy je nieprawna ręka, jako umiała, wykonała.

Obok niej jabłko królewskie, napelnione wewnątrz tą ziemią, której piastowania była godłem, i włócznia św. Maurycego, relikwia razem i berło i szczyrbiec leżał anielski.

Jak około świętości przechodził lud ciekawy, gromadząc się i stając około tych prastarych potęgi pamiątek. Minęło czasu wiele, a obręcze te złote nieczyjego nie dotknęły czoła; pył je okrywał żalobny — w ciemnościach czekały na odrodziciela.

Radość wielka rozgrzewała tłumy, a piękny acz gorący dzień wiosny ze słońcem wesołem pierwszej roku połowy przyświecał wspaniałemu obrzędowi.

Duchowieństwo z arcybiskupem musiało się naradzać nad obrzędem, którego pamięć była zaginęła. Wertowano księgi, słuchano podań ludzi starych, chwymano, co gdzieindziej przy koronacyach się działo; dobierano modlitwy, pisano formuły, szukano pieśni — ale trud to był ochoczy i wesoły.

W katedrze dwa trony na stopniach podniesionych obok siebie stały, okryte suknem szkar-

łatnem ze złotemi bramowaniami. Naprzeciw wznosił się arcybiskupi.

Ołtarz już gorzał światłem rześistem, duchowieństwo oczekiwało, gdy głosy trąb słyszeć się dały od zamku i drogą, sukniem wysłaną, ruszył orszak książęcy, poprzedzany przez ochmistrzów dworu z laskami białemi i wojewodów z chorągwiami zwiniętymi.

Za nimi w otoczeniu dostojników dworu swego stapał Przemysław w sukniach szkarłatnych, w hełmie złocistym — mąż w sile wieku, z licem jasnym — czując, iż spełniał się nad nim obrzęd znaczenia wielkiego.

Owo niebłogosławieństwo, które odejmowało koronę następcom Szczodrego — zażegnane zostało — pokuta była spełniona; zamordowany męczennik, podniesiony na ołtarz, przebaczał rodowi zabójcy.

Obok księcia, w sukni ze złotogłowu i białych rąbkach, jak mgła przejrzystych, piękna i wspaniała z obliczem pańskim szła królowna, mająca dziś się stać królową. Szczęście czyniło ją piękniejszą jeszcze.

U progu stał już Świnka i Jan, biskup Poznański, oba w szatach uroczystych, gotowi na przyjęcie księcia. Ci pokropionego wodą święconą wiedli przodem, gdy dwu drugich Ryksie towarzyszyło.

Na wezgłowiach przed nimi świeciły dwie korony złote.

Przy tronach stanęli urzędnicy ziemi, dworu, wojewodowie, kasztelani, kanclerze, dwór wszystkich, w szatach jasnych od złota, jedwabów i purpury, z tkanin tych przepysznych, których wzory przyniosły od wschodu wojny Krzyżowe.

Zabrzmiała pieśń do Ducha świętego, rozpoczęła się przy ołtarzu ofiara, którą sam arcybiskup odprawiał. Przejęty był i uniesiony duchem ku niebiosom, od których ściągnąć chciał błogosławieństwo.

Wśród pieśni, wśród dymu kadzidel odprawiały się błagalne modlitwy.

Po odczytaniu Ewangelii zwrócił się arcybiskup do księcia, który do ołtarza przystępował dla złożenia przysięgi. Trzymano przed nim Ewangelię i krzyż.

Głosem drżącym poczał przemawiać arcybiskup, lecz wzruszenie wkrótce mowę mu przerwało.

Kłakł pasterz, a książę legł krzyżem na ziemi, śpiewy rozlegały się znowu. Starym obyczajem kościelnym błagalne litanie śpiewano.

Gdy powstał Przemysław, niesiono oleje święte, nastąpił obrzęd namaszczenia. Poczem w bocznej kaplicy wdziano nań szaty królewskie, sandały złociste, humerał, manipularz, kapę. Odzież ta królewska kapłańską razem była, a przypominać miała, że pomazaniec Boży powinien być kapłanem, strzegącym prawa i sprawiedliwości, wyrazicielem potęgi wszechmocnej na ziemi.

Poprzedziło to przypasanie miecza, bo użycie go było obowiązkiem mocarza ziemskiego, nie kapłana.

Dobytym z pochew mieczem Przemysław na cztery strony świata przeszył powietrze i do złotej pochwy go schował.

Wtedy dopiero, gdy jako kapłan i rycerz Boży namaszczony był i zbrojny, dostojny wieńca — pokłakł, a Świnka ciężką tę, twardą, wielką koronę Chrobrego włożył mu na skronie.

Leżała na głowie pomazańca cudem, jakby dla niej była ukutą. Podano w lewą rękę jabłko ziemi polskiej pełne, w prawą berło, widomy znak władzy.

Złożono ofiarę, w złocistych baryłkach wino i chleb biały na ołtarzu.

Następowała Komunia święta, do której przystępując, król miecz odpasał.

Wiedziono na tron, ciągle modlitwy odmawiając i śpiewając.

Po obrzędzie tym w ten sam sposób ukoronowano królową, a gdy obok małżonka zasiadła na tronie, zabrzmiał hymn, wszystkimi głosy nuncy, potężny, wielki, dziękczynny.

Ostatnia nuta jego rozlegała się jeszcze, gdy arcybiskup zawołał:

— Król niech żywie! niech żywie królowa!

Za nim co żyło wołało wtórując, potrząsano rozwiniętymi chorągwiami, bito we dzwony i na trąbach grano.

Arcybiskup z biskupami, ujawszy króla i królową, wiedli ich na zamek, przerysując gęsto stojące tłumy, chcące choć spojrzeć na ukoronowanego pana swego.

Wśród tej ciżby szczęśliwej, wrzawliwej, na pozór rozradowanej — różne się jednak odzywały głosy.

Jedni widzieli blaski same i spodziewali się szczęścia i potęgi, drudzy już troskali się, widząc w tem jakby wyzwanie Boga, próbę niebezpieczną.

Po kątach i zaułkach szemrali i odgrażali się niechętni.

Długo nie wierzono, ażeby arcybiskup ważył się na krok tak wielkiego znaczenia, rzucenie rękawicy wszystkim, co siedzieli na ziemiach polskich, wyzwanie ich do poddania się i posłuszeństwa. Niewiara ich zmieniła się w gniew i odgróзки, gdy wątpić już nie było można, że król ogłoszonym zostanie.

Nie było jednego książęcia, któryby się tem obrażonym i zagrożonym nie czuł.

W gromadach, na ten dzień przybyłych, kryli się szpiegowie tych, co się ulękli korony. Wciskali się oni wszędzie, patrzyli, podsłuchiwali, bledli.

Obrzęd powagą kościoła uświęcony — siły nabierał. Przy tronie stawała jedyna władza w świecie, której opierano się, ale ją szanować i ulegać jej musiano.

Otaczało go duchowieństwo, ono niesło ko-

ronę, dawało jabłko, miecz przypasywało. Od ołtarza mówiąc arcybiskup, nauczał króla, iż miał królestwo pomnażać, jednoczyć, oderwane od niego ziemie odzyskać.

Wyrazy te rozchodziły się daleko, brzmiały głośno, odbiły się we wszystkich książących stolicach, poruszyły siedzących na nich. Mieli być holdownikami i sługami jednego pana!

Lecz wszystkie potajemne odgróзки ciche dnia tego tonęły w chórze zwycięskim. Każdy z ziemian Przemysławowych poczuwał się królem potrosze w osobie pana swojego.

Duma i siła w nich wstępowała.

Gdy na zamku ucztować poczęto, a tłumy się zabawiały u stołów rozstawionych, dzieląc na gromadki ziemiami i powiatami, niektóre rady znaczniejsze skupiły się też i zbierały, aby razem zasiąść i jedność swą starą przypomnieć. Resztki Zarebów i Nałęczów, których się też dosyć znalazło, błądziły, nie mogąc miejsca wyszukać dla siebie.

Dawniejsi przyjaciele uchodzili od nich, powinowaci się odstrychali, ten i ów się zapierał — obawiano się kumać z nimi. Nie śmieli też przybyć główni sprawcy zdrady, z ramienia ich tylko kilku wcisnęło się dla rozglądu i podsłuchu.

Stary Zebro Nałęcz i Zareba zwany Niechluj, którzy nie byli nigdy poszlakowani o współnictwo z Michną i Pawłkiem, ale w sercu za rody swe żal wielki mieli, najboleśniej doświadczyli tego, jak z rodem trzymając, cierpieć zań przychodziło.

Zebro tu i owdzie próbował przysiąść się do gromady, witany zimnem milczeniem. Niechluj widzieć ni poznawać nie chciano.

Obu im ludziom możnym, niegdyś znaczącym, serca się ściszały.

Błądząc tak pośród stołów, przy których dla nich miejsca nie było, Zebro się zetknął z Niechlujem. Dość im było w oczy sobie spojrzeć, aby się porozumieć.

Stanęli milczący, długo bojąc się przemówić do siebie i oglądając dokoła. Unikaliby i oni może od siebie, gdyby gdzieindziej którego z nich przyjęto.

— A co? — mruknął Zebro — dla nas tu już ani ławy, ni chleba niema!

— Próżność się tu wlekli — odparł Niechluj, w boki się biorąc. — Chciałem okazać, że panu wierny, ale wierności mej nie radzi tu.

— Ani mojemu pokłonowi — rzekł Zebro. — Gdym się nowemu królowi chciał do kolan zniżyć, odwrócił oczy, dobrze, że nie kopnął nogą.

Zeszli nieco na bok.

— U mojego woza — począł Zebro — znajdzie się chleb, mięso i beczulka. Co się mamy dobijać, gdzie odpychają!

— Mnie się zda, aby wozy zaprzęgać i do domu — odpowiedział Niechluj. — Lepszego się nie doczekamy, a i gorsze może być.

Stali jednak i przypatrywali się. Z wielkiej ludzi gromady tak wyłączonym być — nikomu nie miło, starym nie nawykłym do tego, tem boleśniej. Obu serce krwią nabiegło.

— Nie winniśmy nic! do dzisiaj wiernym mu byłem sługą — mówił Zebro — ale z winowajcami jedno zawołanie mamy!

— Ja też — rzekł Niechluj — dziś mu się kłaniałem jeszcze, jutro gdy się żółć poruszy... nie ręczę.

— Mam być karan — począł Zebro — niech wiem, za co. Zemście dogodzę, bratanka mojego ścięto.

— I mego stryjecznego — mruknął Niechluj.

— Chodźmy stąd! — dokończył Zebro.

Ruszyli ledwie z miejsca, gdy przechadzają-

cy się z łańcuchem i krzyżem na szyi ks. Teodoryk, jakby ich szukał, zbliżył się i pozdrowił. Przyjęli go chłodno.

— Czemu nie siadacie z drugimi? — spytał.

Odpowiedzi na to nie było, spojrzeli nań i oczy pospuszczali.

— Jeśli sumienie czyste, co ród znaczy? — dodał ksiądz. — Dziś dzień wesóły dla wszystkich, chodźcie ze mną, miejsce znajdziemy.

Dosyć opornie, nie śmiejąc mu się sprzeciwiać, Zebro i Niechluj szli za nim powoli. Lecz gdziekolwiek miejsce dla nich upatrzył, gdy się obejrzano, ściskali się biesiadnicy i — ławy nie stało.

Szedł z nimi aż do duchowieństwa ks. Teodoryk, aby tu między swymi ich posadzić. Tu już wyłączeni, zbyt się czując na widoku, jakby ich palcami ukazywano, podziękowali orędownikowi swemu, weszli między czeladzie i pośpieszyli do wozów i koni.

Zebro u wozu zaraz suknie z siebie świąteczne, bogate, ściągać kazał, zbroję wdział, konia wziął, a gdy Nałęcz toż uczynił, porozumiawszy się z sobą, z niewielkim poczem w lasy ujechali.

— Kiedy drudzy nas nie chcą, do swoich jedźmy! — zawołał Zebro z gniewem wielkim.

Jechali tedy w lasy, drogami znanymi, a co w podróży skarg boleśnych i wyrzekań było — łatwo się domyśleć. Gdy późno dostali się do miejsca, w którym Michno się ukrywał, oba już byli rozgorączkowani.

Zaręba, widząc, jak go ścigano i pochwycić chciano, na uroczysku, zwanem Barcie, oddawna się ukrywał. Zmieniał czasem kryjówkę tę, ale najczęściej w niej przebywał, bo mu się bezpieczną zdawała.

Trzeba było tak wytrwałego jak on człowieka i prostego obyczaju tamtych czasów, aby tu móżdż wyżyć nie tylko wiosną i latem, ale często jesienią późną i zimą.

Wśród gęstwiny na pagórku chatę Michna, zbliżywszy się dopiero, dostrzedz było można. Siedziała ona prawie całkiem zakopana w ziemi; dach ją okryty darniem osłaniał. Ten porósł był trawą i krzakami bujnemi, tak, iż garbem tylko cokolwiek nad ziemią wystawał, a nad nim dymnik z płotka, gliną obmazanego, od kopcia zczerniał. Zamiast ogrodu wkoło leżały kłody wielkich drzew obalonych, jedne na drugich, suchemi gałęzmi i korzeniami ogromnemi posplatane z sobą. Wśród nich tarń, głogi i młode krzewiny różne bujno się puszczały. Szopka dla koni z plotu podwójnego sklecona, a dla ciepła gnojem między nie narzuconym ohacona, nędznie wyglądała z pośrodku drzew gałęzi.

Do tego zapadłego kąta Zarębowie i Nałęcze zjeżdżali się często w liczbie znacznej. Tu się odbywały ich narady, a że miejsca w chałupie mało było, rozsiadali się na blizkiej łące, która była spasiona i strutowana.

Miał tu Zaręba i studzienkę wykopaną, a lichocembrowaną, i loszek, i co do prostego życia było potrzeba. Wnijsie do jego lepianki niewygodne było, bo we drzwiach do pół zginać się musiał każdy, a pod sobą szukać kłódki, która za próg służyła. Ciemno było tu zawsze.

Przybywający huknęli naprzód trzy razy, naśladując pułacza, aby ich za obcych nie wzięto. Natychmiast wylazł z chaty człek w krótkiej odzieży, w chodakach, z głową postrzyżoną i przeciw nim do wrót pośpieszył.

Był to sługa Zaręby, niemowa, ale bardzo roztropny i przebiegły, a do swego pana przywiązany. Nie z urodzenia postradał mowę i słuch miał dobry. Chłopcikiem jeszcze gdy był, człek jakiś okrutny przez zemstę język mu uciął, tak że belkotał niezrozumiale.

Zaraz też odsunęła się okienniczka w niskiej ścianie, przez którą światelko błysnęło i głowa

ludzka. Był to Michno sam, ciekaw, kto mu takiego dnia mógł przybyć w gościnę.

Gdy się opowiedzieli, rad bardzo, naprzeciw pośpieszył do progu.

Konie powiodł niemowa do stajni, a oni szli do chaty, w której świeciło, i gdzie Michno w łosiowym kaftanie i spodniach czekał na nich.

— Czyście się zabłąkali? — zawołał. — Dziś nikom się nie spodziewałem, co najprędzej jutro; wszyscy ciekawi pojechali onego nowego króla oglądać!

— My też stamtąd wracamy — rzekł krótko Zebro.

To mówiąc, przez otwarte drzwi do izby weszli, jak loch niskiej, ale bardzo przestronnej.

Zaręba, zmuszony często tu przebywać, przystroił ją, jak umiał najlepiej, wojłokami powyściełał, skórą wyłożył, zbrojami obwiesił i jakby na najczystszej dworze u ziemianina pięknie w niej było. Świeciła broń, tarcze, miecze i noże porozwieszane. Nie brakło nawet gęśli na jednej ścianie, bo na niej Zaręba czasem grywał.

U ściany jednej gorzało prawie nigdy nie wygasające ognisko, przy którym dziewczę z kosami długimi teraz coś prażyło dla pana — ale obcych posłyszawszy, natychmiast się skryło.

Zebro i Niechluj, którzy tu nie bywali, choć o Barciach wiedzieli, rozpytywali się ciekawie i dziwili. Postrzegłszy to, Michno zawołał:

— Co się to wam osobliwie wydaje, że ów dworzanin stary, który u króla już powinien być się podczaszostwa albo podkomorstwa dosłużyć — pod ziemią się kryć musi, jak borsuk w jamie? Taka dola wiernych sług, co prawdę panom mówią.

Niechluj głową ruszył dwuznacznie.

— Nie mówcie mi, że ja na to zasłużyłem — dodał z gorączką, która w nim nigdy nie wystęgała, Michno. — Pokutuję za to, że się za biedną męczennicą ujmowałem i złego nie mogłem ścierpieć...

— Ale... ale... — odezwał się Zebro na przyzbie, która wkoło ściany obiegała, przysiadłszy. — Mówią ludzie, żeście wy tę panią nadto miłowali... a ona was!

Zaręba skoczył.

— Łgą, jak psy, ci, co to szczekają! — krzyknął. — Szanowałem ją jako panią, litowałem się nad nieszczęśliwą. Łgą, bo to była święta niewiasta!

Nie wznowiono o tem więcej rozmowy, uspokoił się Zaręba.

— He? — zapytał, spoczawszy. — Z Gniezna powracacie? Cóż? dali mu koronę włożyć? Nie stało się nic?

— A cóż się stać mogło? — spytał Niechluj.

Zaręba się śmiał.

— Mogło się co przytrafić — rzekł szydersko. — No... raz, drugi i trzeci się nie powiodło, a kiedyś udać się musi! Niech się cieszą, nie długo tego będzie!

Wtem Zebro, spluwając, wtrącił:

— Zbieracie wy się na niego, odgrazacie lat siła; mnie się widzi, że z tego nic nie będzie!

Gospodarz odwrócił się od ognia, do którego przykładał łuczywa.

— A ja wam się klnę, że będzie! — zawołał uroczyście. — Nam samym dokonać nie łatwo było. Zdrajców się znalazło wielu, donosili mu, miał się na ostrożności. Po drogach przodem wysyłali, lasy trzęśli, bez straży dobrej na krok nie ruszał. Teraz, niechaj się ubezpieczy... znajdziemy go.

Niechluj zamruczał, że trzeba było w pomoc wziąć którego ze Ślązaków lub Pomorskich. Zaręba się uśmiechnął.

— Znajdziemy lepszych niż Pomorsey i Ślązaki — rzekł — posiedźcie do jutra, przekonacie się... Na jutrzejszy dzień zwołało się tu siła ludzi — zobaczycie!

Zmilkł nagle, nie chcąc więcej powiedzieć, na

niemowę krzyknął i zabrał się gości przyjmować.

W lichej lepiance znalazło się więcej, niż spodziewać się mogli.

Udziec sarni, miód dobry, chleb czarny, ale świeży, kaszy podostatkiem, plaster miodu i ser na zakąskę. Niemowa z dziewczyną rażno im posługiwali.

Po wieczerzy wprędce pokładli się wszyscy na słomie i skórach, a ogień tlał i świecił im przez noc całą.

Z rana kłodę doń przyrzucił niemowa i panów pobudził. — Dzień wstał jasny i piękny, wyszli z zaduchy podziemnej na powietrze.

Zaręba spodziewał się dnia tego gości i bacznie ucha nastawiał.

Jakoż przed południem zaczęli nadciągać ze stron różnych Zarębowie i Nałęcz, a nawet wielu powinowatych, co wczoraj w Gnieźnie byli.

Przybywali posepni, podrażnieni, gniewni. Niepokoilo ich to, że obrzęd wczorajszy był uroczysty, wspaniały i tylu ziemian ze wszystkich ziem polskich zgromadził.

Słuchając opowiadań, Michno się zżymał i kłął.

— Nikczemna gawiedź! — wołał — byle ich kto karmił i poił, sprzedadzą się, nie patrząc, że im dyby na cały żywot włoży. Okrzykują króla, cieszą się, nie pomnąc, że im niewolę przyniesie.

Wymieniali przybywający tych, którzy się wprzód Zarębom i Nałęczom obiecywali z nimi iść, a teraz o nich słyszeć nie chcieli.

— Obejdziemy się i bez nich — pocieszał się Michno.

Konni z lasów ścieżynkami różnemi napływali ciągle, wieści osobliwe przynosząc. Większa część frasobliwych była i zatrzwożonych, Michno tylko śmiał się i urągał strachom, a swą śmiałością innych zagrzewał.

Gdy około chałupy za ciasno już im było, wyciągnęli na łąkę.

— Tu mało co poczekawszy — rzekł — zobaczycie kogoś, co wam męstwa doda...

Było już z południa, wszyscy się pod drzewy pokładli i posiadali, gdy w lesie zatętniło i zadzwoniło...

Ci, którzy wprzód przyjechali, wszyscy się ostrożnie i po cichu skradali, a choć zwyczaj był naówczas przy rzędach końskich małe dzwonki zawieszać, żaden się na to nie ważył. Posłyszawszy Zaręba jadących z trzęsidłami i brzękadłami, zerwał się z ziemi, jakby pewien był, że ten przybywał, na którego oczekiwał. Jakoż po chwili wysunął się z lasu na dużym, ciężkim koniu w rzędzie połyskującym mąż wielkiego wzrostu w hełmie czarnym i zbroi lekkiej, w którym z twarzy rozlanej i obrzęklej Niemca poznali wszyscy.

Pańska postać i uzbrojenie kazały się w nim jakiegoś książątka domyślać. Towarzyszyło mu kilkunastu czeladzi, ale ci zatrzymali się u brzegu lasu. Zaręba śpieszył naprzeciw przybywającemu z poszanowaniem, lecz niezbyt uniżoną sycią.

Nie zsiadając z konia, a niespokojnie trochę się rozglądając po ludziach, którzy nagle z ziemi powstawać zaczęli — stał jeździec ów, ręki nie odejmując od ogromnego miecza, który mu u siodła wisiał. Oczy jego z niedowierzaniem zdąży się liczyć gromadę, która za Zarębą zbliżać się ku niemu zaczęła.

Pochyliwszy się z konia, jeździec rozpoczął z Michnem rozmowę.

— Cóż poczynacie? — spytał po niemiecku ponurym, grobowym głosem.

— Koronowaniu nie można było przeszkodzić — rzekł Zaręba — ukoronowali go — ha! nie na długo!

— Nie powiodło się więc! — wtrącił Niemiec. — Wam bo się nic nie wiedzie... mówicie wiele, krzyczycie głośno, robicie mało!

Zaręba po cichu się żywo tłumaczył, tymczasem przybyły oczyma rachował tych, co dokoła się gromadzili.

— Niewielu was też jest! — rzekł pogardliwie. — Co to za siła! to garść ledwie.

— Bo tu tylko są dowódcy — odparł Michno — a nie wszystkie nasze zawołania. Liczcie po dzieśnięć, dwadzieścia i więcej głów na jedną. Ale co z tego, gdy się nie szczęści! Siadaliśmy nań w zasadzkach razy wiele, zawsze nam uszedł.

Niemiec popatrzył urągająco.

— Dajcie no tylko wiedzieć mnie, gdzie go z małym pocztem przydybać można — rzekł — a ja się bez was obejdę.

Szeptali znowu po cichu. Zaręba tych, na których najwięcej liczył, pokazywał księciu i przyprowadzał. Umawiano się i spierano.

Niemcowi oczy zaraz goręcej pały; z niektórymi, co się z nim lepiej rozmówić mogli — szwargotał dłużej i poufalej. W końcu wszyscy stali zgodni. Książę głośno zaczął sypać przyrzeczeniami łask i napędzał, ażeby nie tracono czasu.

Wtem zdala odezwał się krótkim, urywanym głosem róg w lesie.

Był to znak jakiś umówiony; jeździec drgnął, konia żywo zawrócił, głową dokoła skinął na pożegnanie i w gąszcz popędził.

Ziemiańskie też żwawo pobiegli do swych koni, i wkrótce oprócz Zebra i Niechlują nikt na łące nie został, tak śpiesznie każdy w swą stronę się wynosił.

— Teraz — zaśmiał się Michno, powracając do swej lepianki — gdy dwu Ottonów mamy z sobą, nie ujdzie nam królik! Niech się po godach wysapia, a sprawimy im lepsze od tych.

XI.

Ze spuszczoną głową nad stołem stojąc, ks. Teodoryk przypatrywał się, jak na gorącym wosku pisarz Tylon ogromną pieczęć wyciskał.

Świeżo ona była wyrzezaną z porady Świniki arcybiskupa, na większą zgryzotę innym polskim książętom, a stały na niej dokoła słowa:

REDDIDIT IPSE SOLUS VICTRICIA SIGNA POLONIS.

(On sam przywrócił polakom zwycięskie znamię).

On i Tylon, gładząc bródkę swą, krótko postrzyżoną, przyglądali się z uczuciami różnemi tej pieczęci majestatycznej, którą po raz pierwszy zawiesić miano u pargaminu na jedwabnym sznurze.

— A co! — odezwał się Tylon do zadumanego Teodoryka — a co? nie jest-że wspaniała? nie majestatyczna? nie pańska? nie królewska? Mają Ślązacy czarnego Orła, my białego. Już na naszej pieczęci nie lada jeździec na szkapie, co przystał książętom... ale orzeł jakby cesarski! I napis piękny, nie chwając się jam go układał: *Sigillum Praemislai Polonorum Regis et Ducis Pomeraniae. Polonorum!* położyłem nie bez myśli — zjedzą się ze złości!

Uśmiechnął się Tylon i dodał:

— Takiej pieczęci u nas nie bywało, ni u żadnego z panów naszych!

— A wy się tem cieszyć? — spytał Teodoryk.

— Jakże nie!

— Ja zaś... nie cieszę się — rzekł lektor, potrząsając głową. — Wiecie dla czego? Bo ja wolę moc i władzę, niż trąbę i chwałbę... wolę czyn niż słowo... Ale wyście, panie pisarzu, mężem słowa i w moc jego wierzyć.

— Pewnie! — zawołał Tylon. — Bóg nas nauczył, że słowo staje się ciałem, i że co ma być czynem, wprzód myśla być musi!

Zamilkł i wracając do pierwszego wesołego nastroju, począł znowu:

— Niech się książątka wściekają! niech się złoścą, niech gryzą nieprzyjaciele! Który z nich na tę pieczęć spojrzy, ciarki pójda po nim! *Polonorum* na niej stoi... Sapienci sat! Arcybiskup mnie za to w głowę pocałował!

Ręką zamachnął dokoła.

— Zagarniemy wszystko!

Teodoryk smutnie się jakoś uśmiechał.

— Daj to Boże — odezwał się — ale mnieby się widziało nie trąbić z wieży, dopóki się nie pokona, nie ostrzegać, że się bić będzie, aby się miało na pieczy, nie drażnić złego zwierza.

— Niech drżą! — krzyknął Tylon. — *Victricia signa* nasze! a jak to ślicznie brzmi: *reddidit ipse solus...*

— Mój ojeze — odparł Teodoryk — niekoniecznie oni na placu boju walkę nam wypowiedzą; albożecie nie słyszeli o truciznie, co we Wrocławiu sprzątnęła tych, którzy zawadzali? albo nie wiecie, co Białego spotkało?

Tylon oburzył się.

— Mamy dobrą pieczę nad panem! Oho! oho! nie bójcie się. Ludzie go jak oka we łbie strzegą! Lektor zaciął usta i pomilezał.

— Tak, miejcież pieczę! — i urwawszy, dodał: — Co to ja słyszę? Król pono na zapusty do Rogoźna się wybiera?

— Na zapusty! tak jest — rzekł Tylon. — Słusznie mu należy, aby się rozerwał i odetchnął, i on, i dwór!

— A w Poznaniu nie może? — wtrącił Teodoryk.

Tylon usta ściągnął pocieszenie w ryjek, chudą ręką przebiegał po powietrzu, palcami poruszał, niby im coś mówić nakazując, czego Teodoryk zrozumieć nie mógł.

Chrząknął potem, a widząc, że ksiądz jaśniej-

szego oczekuje tłumaczenia, szybko mruczeć zaczął:

— Czyż wam, bracie Teodoryku — wam, co słyszeliście, jak trawa rośnie i co z sobą ptacy na gałęziach rozmawiają, wam, co widzicie w ciemnościach, słyszycie w milczeniu, wam, ja potrzebuję wyklądać i rozjaśniać, dla czego zapusty królowi lepiej będą smakować w Rogoźnie?

Ks. Teodoryk milczeniem i wejrzeniem dał do zrozumienia, że bądź co bądź potrzebował tego tłumaczenia. Stary notaryusz oczki mrużył.

— Ojcie kochany — rzekł cicho — nie ma większego wielbiciela królowa pani nasza nade mnie. Niewiasta jest cnót wielkich i majestatu potężnego, ale niewesoła! Koło niej też smutno, cicho. Za nią wszędzie chodzi ten majestat jej, powaga — *decorum!* Rozśmiać się przy niej nie godzi, bo się namarszczy, zaśpiewać wara, bo to jej godności ubliża. Widzieliście wy ją kiedy inaczej jak królową? Idzie do łoża nią i wstaje w koronie. Niewiasty w niej mało. Spojrzawszy na nią, strach święty ogarnia! Otóż, widzicie, bracie Teodoryku, w końcu panu niestaremu, boć młodym się jeszcze zwać może — zapragnie się trochę swobody i człowieczeństwa.

Spuścił głowę i ręce rozstawił szeroko.

— *Humanum est!*

— Smutna to rzecz — westchnął ks. Teodoryk. — Królowie nie mają czasu dla siebie żyć, a wesela szukać — królowanie kapłaństwem jest! Kto namaszczone jest, ze człowieczeństwa się wyzuć powinien.

— Mieście wy litość nad nami! — szepnął Tylon.

— Ja, ja mój ojcie — odparł lektor — nietylko litość dlań, ale miłość mam. Na wiele rzeczy oczy przymrużam, lecz smutno mi i biedno, gdy myślę, że on musi szukać roztargnienia w Rogoźnie! Ściągnie się tam do niego pewnie na zapust dużo ziemian wesółych, palki sobie pozalewają,

poczną się swawole... Panu nietylko w nich być, ale patrzeć na nie nie przystało.

— Za surowi bo jesteście — mruknął Tylon. — Niechby to mówił arcybiskup albo ks. Wincenty, ale wy, co świat znacie!...

— Mój ojcie — żywo wtrącił Teodoryk — mnie naostatek nie o zabawę idzie, ale się — boję!

Notaryusz rozśmiał się tak serdecznie, szeroko, iż lektor zawstydzony się zmieszał.

— Boicie się o niego? Gdzie? tu? pod nosem? na naszej ziemi? w Rogoźnie? Tam, gdzie go najlepsi otoczą przyjaciele?

— I gdzie najgorsi, bo skryci wrogowie wciśnąć się mogą!

— No! no! — przerwał Tylon, znowu z miłością wielką przypatrując się swej pieczęci. — Słyszemy od lat wielu o tych Zarębach i Nałęczach, ale to gwar pusty! Porozłaziło się to po świecie, niema ich i znaku! Ci, co w domu zostali, do łask się wprasza. Strachów sobie z tego próżnych czynić nie trzeba!

— Niech i tak będzie — rzekł Teodoryk — zawsze wolałbym zapusty w Poznaniu niż w Rogoźnie.

— Na Wielki post powróci z nami śpiewać żale do Poznania.

Tylon, zamknawszy tem niemłą mu rozmowę, dodał, pieczęć podnosząc:

— Patrzcie-no, ojcie mój, jak rozumnym był ś. p. Bolesław Kaliski, dobrodziej nasz, gdy Judeom przywilej nadał, aby mieli u nas opiekę i bezpieczeństwo! A ktoby nam tu teraz taką pieczęć wyrzezał, gdyby nie było Samuela, syna Judy? Kto nam pieniądze bije? Też Judeus! Kto klejnoty oprawia? kto grzywien pożyczka? kto drogie bisiory przywozi? Ludzie rozumni są do wszystkiego!

Na te pochwały skrzywił się lektor.

— Jednak — rzekł — ks. Pasterz nasz Gnieźnieński rozumnie także uczynił, gdy na Synodzie,

jak po innych krajach się wodzi, nakazał śpiczaste głowy nakrycia i kółka czerwone nosić na piersiach.

Stary Tylon spuścił głowę, nie śmiejąc powiedzieć, że ustawa Synodu dobrą być musiała.

Działo się to w pierwszych dniach lutego. Jak Teodoryk mówił, w istocie król wybierał się na łowy w lasy pod Rogoźno, kilka dni zamierzając w miasteczku tem spędzić na spoczynku i zabawie.

Im ostrzejsze były posty ówczesne, tem mięsopust szumniej obchodzono, jadłem i napojem, nieraz pieśniami i skokami, które nagle popielec przerywał smutnem pieniem pobożnem o Męce Zbawiciela.

Na zamku w Poznaniu, jak mówił Tylon, królowa niebardzo dawała szaleć nawet w zapusty. Pani była surowa i o godność swą frasobliwa wielce; szumnej, rozpasanej wesołości nie lubiła nigdy. Dość było, by na króla spojrziała, wnet Przemysław, gdyby najbardziej rozochocony, poważniał i chmurzył się. Nic też dla dworu królewskiego dziwnego w tem nie było, iż chciał z zamku zjechać nieco i w gronie wesołych towarzyszków odpocząć, pośmiać się, dobrej użyć myśli.

Królowa, choć niezbyt lubiła te mężowskie wycieczki, wzbraniać ich panu swemu nie śmiała. Obiecywał się z rychłym powrotem. Zostawała naówczas na zamku sama z surowo utrzymanym dworem i córeczką podrastającą. Szyła w krosnach, kazała sobie czytać kapelanowi, lub patrzyła na dzieciące zabawy młodej Ryksy.

Właśnie orszak królewski z zamku miał wyciągać, a królowa przypatrywała mu się niewidziana. Na twarzach towarzyszyć mających panu łowców, dworzan, czeladzi widać było radość, jakby się z niewoli wyrywali. Tłumili ją tylko, obawiając się, by jej surowa pani nie postrzegła. Bystre jej oko dobrze rozeznawało wszystko i czytało w twarzach ludzi.

Smutną się stała, gdy ujrzała w końcu wychodzącego króla, który na koń miał siadać, równie rozweselony i śmiejący się, jak ci, co go otaczali.

Domyśliła się, przeczuła, co się w duszach tych ludzi i małżonka jej działo. Było im tu za ciasno — ani wykrzyknąć, ni huknąć, ni poszaleć, ni zapić się zbytnio nie było wolno. Tam mogli sobie cugle puścić swobodnie.

Król uśmiechał się, rozprawiał żywo, o dostojęństwie swem zapominał — widziany tak zdala, całkiem innym był człowiekiem niż ten, którego ona zbliżka знаła. Wydał się jej niemal politowania godnym.

Miała mu za złe, że na chwilę zapomniał się i był człowiekiem tylko. Na myśl jej przyszły: Mina, Lukierda i stare młodości dzieje — wszystko, co jej o nim opowiadano.

Westchnęła i zapuściła na okno zasłonę.

Z wesołemi, choć tłumionemi uśmiechy wyciągali myśliwi, odzywały się trąbki, psy poszczekiwały radośnie, konie rażno biły kopytami o zamarszlą ziemię i prychały.

Z psiarni tylko, w której reszta sobak była zamknięta, w tejże chwili odezwał się głos złowrogi. Pies jeden zawył żałośnie, za nim reszta uwięzionych poczęła przeraźliwie zawodzić i właśnie, gdy król bramy pomijał, wycie ich rozległo się w podwórach. A choć czeladź, psiarze i psiarzki pobiegli chłostać, ogary wyły długo, a ich żałosne jęki echem boleści i trwogi odbiły się w sercu królowej.

Cicho i pusto było dni następnych na grodzie.

Tydzień przeszło minął tak w jakimś milczeniu złowrogim, a król nie powracał jeszcze.

Ci, co od niego do Poznania przybywali, opowiadali, iż się zatrzymał w Rogoźnie na gródku, chwając się, że im tam wesoło było, że co wieczora w bród miodów dawano, ziemianie z niewiastami swemi przybywali i płasano a śpiewano i ra-

dowano się. Król też miał być wesół jak rzadko, żartował, rozmawiał i łaskami obsypywał.

Kto mógł, znikał z Poznania i uchodził na mięsopust do Rogoźna, aby się tam zabawić z drugimi. Pod różnemi pozorami wymykali się tam ludzie.

— Jeszcześmy, jak nastała nowa pani, nigdy takich zapust nie mieli! — chwalili się dworzanie.

Królowa, niespokojna trochę, słała na zwiady, niemile słysząc o tych zabawach w Rogoźnie.

Na drugi dzień po św. Dorocie z rana tak jeszcze na zamku cicho było, jak dni poprzednich.

Tylon w swej izdebce na wosku wyciskał coraz nowe pieczęcie. Ks. Teodoryk, który pozostał w Poznaniu, chodził na służbę do królowej, tęskniąc za panem, niepokojąc się o niego. Kanclerz Wincenty, mając wiele na swej głowie, dopominał się powrotu króla.

Dzień tak upłynął cały, cicho, głucho, bez wieści o nim.

Wrota już zawierać miano, gdy do nich dopadł człek konno, na zziąbanej szkapie, i rzuciwszy ją pierwszemu, którego spotkał, pędem pobiegł do biskupa.

Tego nie znalazłszy w domu, bo do Trzemeszna zjechał, wpadł jak oszalały do kanclerza.

Ks. Wincenty właśnie wieczorne odmawiał pacierze; w kominie się trochę przygasłego ognia zarzyło i wchodzącego wziął za chłopca swego. Stękanie jakieś usłyszawszy dopiero — zbliżył się do stojącego przy progu.

Człek blady, przerażony, niemy, któremu wargi dygotały, z włosiem rozczochranym stał przed nim — żywy obraz przerażenia i boleści.

Kanclerz, ujrzawszy go, wykrzyknął:

— Człecze, co ci jest?

Nie mogąc mówić, ryknął zapytany płaczem wielkim, oczy sobie zakrył i padł na kolana. Strach ogarnął kanclerza.

— Człecze! na Boga! Co ci jest? — powtórzył.

Ale jeszcze usta jego prócz jęku nie wydać nie mogły.

Wtem drzwi się rozwarły szeroko i ks. Teodoryk, który konia porzuconego u wrót poznał, iż należał do jednego z tych, co z panem byli w Rogoźnie, wbiegł, a klęczącego i zachodzącego się od płaczu postrzegłszy, wykrzyknął:

— Boże wielki! Mów co się stało! Tyś z Rogoźna!

Z ust nareszcie wyrwało się posłańcowi:

— Król zabity!

Jednym jękiem oba duchowni odpowiedzieli.

Długo potrzeba było trzeźwić i uspokajać człowieka, nim mógł zacząć opowiadać.

— O! nieszcześliwa godzina! nieszcześliwa godzina! Brandeburczyków dwu, Zarebowie i Nałęczu, gdy pan i wszyscy po długich godach spali snem twardym, nad rankiem na bezbronnych nas napadli. Zrobiła się wrzawa okrutna... jam posłyszawszy ją, zerwał się i biegł ku panu, na pół nagi, kord tylko pochwycając. Ale za zgrają Sasów i tych łotrów już docisnąć się nie było można. Króla wywlekli, ciągnęli naigrawając się i bijąc. On z tymi, co przy nim byli, jak lew się bronił. Padło łotrów dosyć trupem. Patrzałem, jak Nałęcza Pawłka ciał w głowę, aż runął i wyzionął ducha. Gdym mieczem torując sobie drogę, przeciskał się do niego, zobaczyłem, jak krwią opłynawszy cały, zachwiał się i upadł na ziemię. Sasy go zaraz wrzeszcząc pochwytili. Nie wiem już, co się ze mną działo, ani jakom ja choć poraniony, mógł z duszą ujsć od nich. Wyciągnęli go już omdlałego, wołając i ciesząc się, w podwórko — w koszuli całej zbroczonej i pociętej. Nuż go na koń sadzać a wiązać, ale się biedny pan na nim już utrzymać nie mógł i padł z niego. Co go wciągną, to jak trup się ślizgnie i — leci. Życie w nim było jeszcze przecie, jęki słyszałem. Po-

nieśli go na wóz ladajaki, chcąc na nim uwieźć Brandeburezyki, ale i z wozu się obalił. Dopiero nakłuwszy, jeszcze porzucili. Jam się przedzierał, chcąc tam paść, gdzie i on, gdy patrzę, Michno Zaręba stoi nad nim, nogę mu na piersi postawił i chylił się doń. — Jeszczebyś żył! — zaryczał mu nad uchem. — Weźcie, mnie! ratujcie! — odezwał się król, głosu dobywając słabego... Nie wiedział snadź, do kogo mówił. — Weźcie, a na łożę zanieście... życie powróci! Posłyszawszy to Michno, nagle podniósł miecz w górę i oburącz go wraził w piersi, przybijając do ziemi, a nad uchem mu krzycząc:

— Lukierda!

Kancelarz i Teodoryk ręce załamali.

Stało się milczenie straszne, posłaniec na ziemi legł i wił się a płakał.

Tak skończył król ów siedmiomiesięczny, po którym płakali wszyscy. Lud widział w tym zgonie jego pomstę Bożą za zgon niewinnej Lukierdy*).

K O N I E C.

MUZ.
JIK
ROMANOWIE
283

*) Opowiada Długosz za innemi, że rody Zarębów i Nałęczów za udział w tem zabójstwie długo pozbawione były prawa noszenia sukni szkarłatnych i stawania przy popisach rycerstwa w osobnych szykach. Zdaje się to jednak być później stworzoną legendą, lub stosuje do jakiejś gałęzi rodzin tych, gdyż wprędce potem Nałęczów widzimy na wysokich dostojeństwach, nawet w Wielkiej Polsce.

